MARYA Z FREDRÓW SZEMBEKOWA

NA JAWIE I WE ŚNIE

NOWELLE

POZNAŃ
DRUK I NAKŁAD J. LEITGEBRA
1903

POD CZAREM

Wracam z pogrzebu. — Sam jestem na świecie. — Znużony — niewymownie znużony na ciele i duchu, rzucam się na łóżko i usiłuję przywołać sen na obolałe powieki.. Tak dawno go już nie zaznałem!.. Napróżno!.. O śnie niema mowy. — Natrętne myśli cisną mi się do głowy; daleka przeszłość zmartwychwstaje; dawne rany się rozwierają. a równocześnie jakiś głos szeptać mi się zdaje, że ode mnie zależy wskrzeszenie minionych chwil szczęścia, chwil upojenia takiego, że na samo jego wspomnienie, serce mi w piersi zamiera...

Zrywam się na równe nogi, nieprzeparta siła zmusza mię do ruchu i czynu, kroki moje kieruje do biurka, rękę moją do szuflady wkłada i wrzuca w nią list... Biorę go po raz setny; po raz setny odczytuję... I

staram się, i boję, i pragnę zarazem odgadnąć znaczenie wyrazów w nim zawartych; staram się umysł i nerwy otrząsnąć z owego chaotycznego stanu, w jakim się znajdują. Chcę spokojnie w przyszłość spojrzeć, powiedzieć sobie stanowczo: „Drogę moją widzę przed sobą jasno; tą drogą pójdę, a nie inną.“

Napróżno! Drogę moją widziałbym jasno, poszedłbym nią może bez wahania, gdyby nie ten list i nie te jego tajemnicze słowa:

„Kiedy człowiek raz sobie łańcuch na nogi przykuje, dźwigać go, chcąc nie chcąc, musi do końca dni swoich...“

Co to znaczy? Co on przez to chciał powiedzieć?

Mój Boże!..

Młody jestem. Liczę lat dwadzieścia zaledwie. Życie dla mnie się dopiero zaczyna, a ja nieraz, — często, — miewam uczucie, że już chyba jedno przeżyłem, ostatnie lata moje tyle mi w sercu zostawiły blizn i goryczy.

A jednak szczęśliwy byłem dotąd, i kochany, i pieszczony, i od dziecka otaczany

tą ciepłą atmosferą troskliwej opieki, która na cały późniejszy bieg życia zwykła wpływ swój pozostawiać.

Czy może tu, na ten papier, rzucić w krótkości niektóre z moich wspomnień? Czemu nie? Papier jest niemym powiernikiem, a w braku innego, zwierzanie się i jemu ulgę mi przyniesie.

Rodziców moich nie pamiętam; straciłem ich oboje, kiedy jeszcze straty tej odczuć nie byłem w stanie; chowałem się u dziadka mego i babki. — Dziadek był niegdyś sławnym lekarzem w Warszawie; dlaczego zawód swój w sile wieku porzucił, aby się przenieść do Galicyi, długi czas wiadomem mi nie było.

Mieszkaliśmy w ładnym dworku, otoczonym niewielkim ogrodem, o dwa kilometry od Stanisławowa; ten dworek ze swoją dzikiem winem obrośniętą werendą, na której całemi dniami dziadek przesiadywał, ten ogród czysto wygracowany, pełen róż, rezedy, heliotropu i stu innych wonnych kwiatów, którymi się z zamiłowania trudniła babka moja — przeze mnie Bunią zwana — i jej

córka, ciocia Kostusia, — oto obrazek, który w oczach i sercu zachowałem z pierwszej, najdalszej epoki mego dzieciństwa.

Żyłem pomiędzy temi trzema drogiemi istotami w przeświadczeniu choć bezwiednem, że ich wszystkie myśli, starania, dążenia wkoło mojej osoby grawitują. I tak było rzeczywiście. Ja byłem ich pociechą za przeszłość — jedyną na przyszłość nadzieją.

Mówią ogólnie, że chłopiec, którego pierwszem wychowaniem zajmują się wyłącznie kobiety, jeżeli nie koniecznie zniewieścieje, to przynajmniej przejmuje się wielu kobiecemi uczuciami i poglądami, jakąś tkliwością, obcą naturze męskiej, nabiera w swem obejściu jakichś form łagodniejszych; ciągłe zaś obcowanie ze starszymi przedwcześnie dojrzałym go czyni.

Prawdą się to okazało i w stosunku do mnie.

Wychowany przez babkę i ciotkę, zawsze w towarzystwie starszych przebywając, nie dziw też, że zawsze byłem dzieckiem, mało dziecinnem, a za to milczącem, w sobie zam-

knięttem i nad wiek swój rozwiniętem. Przez słowo „rozwiniętem“ nie chcę twierdzić, jakobym był jakieś wyjątkowe zdolności lub przymioty posiadał. Zaznaczam jedynie, że wcześniej, niż to zwykle się zdarza w sferach zamożniejszych, zrozumiałem życie, jego liczne bóle, trudności, zawody i rozczarowania. Zdaje mi się, że w latach, kiedy inne dzieci marzą tylko o piłce lub o drewnianym koniu, ja już dobrze pojmowałem, że bawić się mogę, ale sam i cicho, bo Bunia zajęta, a Dziadzio niezdrów; że nikomu w drogę nie powinienem wchodzić, ani się nikomu naprzykrzać; wreszcie, że nad domem naszym, zwłaszcza nad najdroższą moją Bunią, wisi ciężki, wielki a tajemniczy smutek...

Podpadło mi to, pamiętam, po raz pierwszy podczas Świąt Bożego Narodzenia; właśnie co dopiero, przy rzęsiście oświetlonej sosence, dostałem był prześliczną gwiazdkę, składającą się z barankowej czapki od Dziadzia, illustrowanej historyi świętej od Buni i różnych przysmaczków od cioci Kostusi. Podano wilię. Dziadzio wziął opłatek do ręki

i zbliżył się do babki. Spojrzeli na siebie; a Buni oczy od razu łzami się napełniły, usta jej poczęły drżeć, cała twarz przybrała wyraz bezmiernej boleści; po chwili, mimo wysileń, aby się przezwyciężyć, łkania nią głośne wstrząsły i głowę w dłonie ukryła. Na ten widok i ciocia Kostusia zmieszała się mocno; mnie zaś cała uciecha z podarków minęła; jeden tylko dziadek się nie rozczulił; przeciwnie, brwi zmarszczył i milcząc, usiadł przy stole.

Po wilii, która nikomu bardzo nie smakowała, gdy dziadostwo, według przyjętego zwyczaju, do salonu przeszli i przed kominem zasiedli, zbliżyłem się nieśmiało do babki w zamiarze rozweselenia jej, według sił i możności.

— Buniu — szepnąłem jej do ucha — chcesz? Pokażę ci obrazki mojej historyi świętej i będę ci opowiadał, co który przedstawia...

Staruszka uśmiechnęła się dobrotliwie i przygarnęła mnie do siebie...

— Dobrze, kotku — opowiadaj… będziemy wszyscy słuchali.

Więc, rozłożywszy książkę na jej kolanach, począłem wykładać dzieje Adama i Ewy, i węża i jabłka, Abla i Kaina, a wykładałem tak jasno i poważnie, że się nawet chmurne oblicze dziadzia rozjaśniło, — odłożył na bok fajkę, przysunął swój fotel do nas, a chcąc mię na pomyłce złapać, to ten, to ów obrazek na przemian wskazywał, żądając tłómaczenia.

— „A! ten — rzekłem wreszcie — ten tutaj przedstawia syna marnotrawnego… Widzi dziadzio… powraca taki obdarty, chudy, biedny, do domu rodzicielskiego, że aż mu wstyd, a oto ojciec wybiega na jego spotkanie i ręce do niego wyciąga, tak się nim cieszy i winy mu wszystkie przebacza, i ucztę wyprawia….“

Ciocia Kostusia lekko mego ramienia dotknęła — ale za późno! Już znowu Bunia trząść się cała i płakać poczęła, a Dziadzio wstał gniewnie, zamknął książkę, rzekł stłumionym głosem „Dosyć!“ i pokój opuścił.

Spojrzałem zdumiony wkoło siebie.

— Nie płacz, Buniu! Nie płacz!... — Zawołałem, rzucając się na jej szyję, — co Tobie jest? Co ja zrobiłem? Czemu się dziadzio pogniewał?

A Bunia mnie tylko tuliła do siebie, powtarzając:

— Nie martw się, kotku... Już nie płaczę... Tyś nic nie zrobił... nikt się na ciebie nie gniewa... Kiedyś, później zrozumiesz.

I rzeczywiście, w kilka lat później dopiero zrozumiałem.

Kiedy wracam myślą do tej tak już dalekiej przeszłości, wydaje mi się ona nieskończenie długą, skutkiem zapewne jednostajności naszego ówczesnego życia. Dnie płynęły jeden za drugim, spokojnie i monotonnie niczem się jeden od drugiego nie wyróżniając, z wyjątkiem niedzieli. Epokę w naszych dziejach stanowiły takie wypadki, jak np. ciężka szkarlatyna, którą w dziewiątym roku przebyłem, pierwsza moja wyprawa do gimnazyum Stanisławowskiego i tym podobne zdarzenia.

Niedziela — jak to powiedziałem — odmienną była od reszty tygodnia; to też zawsze jej z żywą niecierpliwością wyczekiwałem.

Najpierw ważną czynnością dnia była wycieczka do miasta na sumę; dziadostwo jechali zwykle jednokonną karyolką; ja zaś, z ciotką, dla ruchu, a zarazem i braku miejsca w karyolce, szedłem piechotą. Nabożeństwo trwało długo, mimo to, lubiłem je bardzo i za nic w świecie nie byłbym go z własnej winy opuścił. Po południu, około godziny 5-ej latem, 4-ej zimą, przychodzili do nas goście, zawsze ci sami, lecz zawsze z równą przyjmowani radością. Byli nimi: muzyk utalentowany i razem nauczyciel śpiewu, profesor Hudelka, Czech rodem, a Polak sercem, i pułkownik Rydwan.

Pan Rydwan mienił się sam pułkownikiem, jakiej jednak armii, jakiej broni i z jakiego roku, tego nikt nie wiedział, ale też i nikt o autentyczności tego tytułu nie wątpił i w całem mieście pułkownik był osobistością znaną i znaczną. Mienił się on także przyjacielem domu naszege, a jeżeli spe-

cyalność mówienia każdemu bez najmniejszej potrzeby i ogródki najnieprzyjemniejszej prawdy może się przyczynić do zdobycia tego miana, to zasługiwał on na nie z pewnością.

Pułkownik był moją osobistą antypatyą; przekupić mię nigdy nie zdołały ani jego dorywcze umizgi, ani podarki, któremi mnie dwa razy do roku, na imieniny i gwiazdkę, darzył; antypatyę tę, wobec samej siebie zresztą nie przyznaną, dzieliła i ciocia Kostusia.

Wystarczało, aby jedno z nas czemkolwiek się ucieszyło, można było pójść o zakład, że pułkownik, z nadmiaru szczerości, radość popsuje.

Naprzykład:

Dziadzio, bibliofil zapalony, kupuje u antykwarza rzadkie jakie naukowe dzieło za bardzo przystępną cenę; z dumą pokazuje swą zdobycz pułkownikowi... Jakbym słyszał jego uwagi:

— Za bezcen! Ty to nazywasz za bezcen?.. Stary przyjacielu, daruj... Szczerość przedewszystkiem! Ale orżnęli cię niemiłosiernie!.. To samo dzieło — nie dalej jak

przed miesiącem, ofiarowano mi we Lwowie za połowę — wyraźnie za po-ło-wę sumy, którą dałeś... Żebym tak był wiedział, że go poszukujesz... No! Zresztą!.. Stało się!.. Niema co więcej o tem mówić!..

Ot! i cała radość dziadzia zimną wodą zlana.

Albo — przykład drugi:

Ciocia Kostusia przynosi własnej roboty i własnego wymysłu nalewkę na próbę; ja jeden, do pozakulisowych, a raczej kulinarnych tajemnic przypuszczony, wiem, ile czasu, trudu i zabiegów, wyrób ją ten kosztował. Dziadzio łyk po łyku ciągnie, oczy przymyka i mlaszcze ustami: Wyborna! Nektar, Kostusiu, istny nektar!.. — Pułkownik natomiast głową kręci: Niezła!.. Niezła!.. Jednak — jeżeli mam być zupełnie szczery, to zeszłoroczna, panno Konstancyo, była niezaprzeczenie lepsza... Tutaj przebija jakiś smaczek, czy aromacik, że tak powiem... obcy... nutki...

I oto ciocia Kostusia do żywego dotknięta.

Cóż teraz powiedzieć o własnej osobie? Jeżeli co chłopca nudzi i gniewa, to z pewnością wieczne uwagi nad jego wyglądaniem? a tych pułkownik nie szczędził nigdy. Nie pamiętam, aby mnie kiedykolwiek innemi słowami przywitał, jak: Dzień dobry, kawalerze! Cóż tam znowu wyglądasz jak placek owsiany? Pewnie Bunia kochanego wnuczka samemi ciastkami karmi?.. Albo: Jak się masz, Henryczku? Cóż to kaszlesz tak paskudnie? — Tu niby nawiasem i głosem grobowym dodawał: Kubek w kubek jak nieboszczyk ojciec...

Nieraz mnie taka złość na niego porywała, że się z niej cioci Kostusi, dla ulżenia sercu, zwierzałem. Ona go wprawdzie broniła, ale słabo:

— Widzisz, kotku, to stary przyjaciel dziadzia i całej rodziny... Szczery, bo szczery! Czasem nawet zbytnio... ale trzeba mieć wyrozumiałość...

Dziwiłem się nieraz w późniejszym już wieku przyczynie zażyłości, jaka między nim a moim tak dobrym, szlachetnym, nigdy

o nikim źle nie mówiącym dziadem panowała; doszedłem do przekonania, że owym tak silnym między nimi łącznikiem była wspólna passya do pikiety i preferansa. Obaj w obu grach za mistrzów się uważali, a niedzielna partyjka stanowiła jedyną rozrywkę w smutnej egzystencyi dziadka.

Przy zielonym stoliku rozgrywały się często pocieszne sceny; biedny profesor, dystrakt, jakich mało, padał zwykle ofiarą swych dystrakcyi i „leżał“ ku wielkiemu swemu przerażeniu, za co go dziad mój regularnie łajał, a pułkownik niemiłosiernie wydrwiwał. On sam biadał na swój „pech“ łamaną polszczyzną w tak zabawny sposób, przyczem raz po raz ze zmartwienia i irytacyi zażywał takie olbrzymie porcye tabaki, że trudno było dla widza wstrzymać się od śmiechu; — litowała się nad nim i z nim współczuła jedynie ciocia Kostusia, której, mówiąc nawiasem, był on, kilkakrotnie odrzuconym, a zawsze wiernym, konkurentem.

O tym afekcie profesora, dziad mój, w chwilach dobrego humoru, wspominał nieraz

żartobliwie, jak i żartobliwie namawiał córkę, aby stałość tak przykładną nagrodziła raz przecie wzajemnością.

Ciotka słowa ojca z uśmiechem przyjmowała, a na jego przycinki zwykła była odpowiadać, że ostateczną decyzyę na później odkłada, bo gwałtu niema, oboje czas mają czekać, a że choć profesora szczerze lubi, to za niego obecnie nie wyjdzie, bo wie, żeby rodzice i Henryczek bez niej sobie rady nie dali.

W tej odpowiedzi leżało coś prawdy.

Ciocia Kostusia była nam wszystkim więcej, niż potrzebną, bo niezbędną, czuła to dobrze, więc zabiegi swego adoratora w żart obracała, nie wahając się z miłości dla nas własne szczęście poświęcić; czyniła to jednak w sposób tak prosty, tak jakiś cichy i pozbawiony wszelkiego „patosu“, że ani ja, co było z powodu mego wieku naturalnem, ani też dziadostwo tej jej ofiary nie byli świadomi.

Ona-to rzeczywiście całym domem zarządzała, od rana do wieczora dzwoniąc kluczykami, biegając szybkim drobnym kłusi-

kiem po podwórzu i ogrodzie; zajęcia jej były tak liczne i różne, że trudno było pojąć, jak jej dzień na nie mógł starczyć, bo prócz gospodarstwa, trudniła się i głośnem czytaniem dziadostwu, i prowadzeniem rachunków, i apteczką, i cerowaniem bielizny, i przerabianiem starych rzeczy na nowe, i wreszcie, zanim mnie do szkół posłano, udzielaniem mi początków nauki.

Miałem lat dziesięć, jedenaście najwyżej, kiedy po raz pierwszy zauważyłem, że ciocia i Bunia mają jakiś przed dziadziem wspólny ważny sekret; czasami — bardzo zresztą rzadko, zaledwie co kilka miesięcy, odbierała jedna z nich list, pokryty obcemi znaczkami (te znaczki pierwsze uwadze mojej podpadły, bo któż swego czasu z zapałem znaczków nie zbierał?) Gdy taki list przyszedł, odczytywały go zwykle razem, potajemnie, w pokoju cioci, zawsze się nad nim łzami zalewając, potem całemi dniami, a nawet tygodniami, chodziły obie jak strute, a z poobiedniej drzemki dziadka korzystały, aby z sobą długie, ciche odbywać narady.

Tego samego roku, kiedy odkrycie to zrobiłem, Bunia poczęła niedomagać na oczy. Wzrok jej, zawsze słaby, od niejakiego czasu z każdym dniem słabszym się stawał, a gdy dziadek, zaniepokojony groźnemi objawami, coraz to nowych sprowadzał okulistów, ona tylko ramionami wzruszała, szepcąc do cioci Kostusi:

— Co mi tam oni pomogą? Co mi już po oczach? Do reszty je wnet wypłaczę...

Kiedy tę moją drogą, starą Bunię wspominam — tę Bunię moją o osłabionym wzroku, przytępionym słuchu, a tak gorącem, kochającem sercu, staje mi ona w pamięci, jak żywa — nieomal dotykalna... Widzę jej postać drobną w tym samym zawsze stroju, a więc w gładkiej ciemnej sukni, staroświeckim krojem sporządzonej, w czepeczku białym, liliowemi przystrojonym wstążkami, tak ładnie od jej srebrzystych loczków odbijającemi; później, widzę ją biedną z zielonym daszkiem na czole; później jeszcze, gdy już zupełnie „oczy wypłakała“, wolnym posuwającą się krokiem, z laską, której rą-

czka głowę bociana przedstawiała, a którą przed sobą macała drogę...

Zanim jednak Bóg na nią — i na nas wszystkich — ten cios srogi zesłał, przebyła inny, dla niej samej może mniej dotkliwy, lecz za to w następstwa obfitszy. — Późną jesienią 18—r. wieczorem siedzieliśmy wszyscy razem w salonie; dziad, według zwyczaju, kładł pasyans z pomocą Buni. Ciotka jedną ze swych wiecznych robótek ręcznych była zajętą, ja zaś na uboczu kończyłem właśnie przysposabiać się do szkoły, gdy wtem hałas usłyszeliśmy na dworze i do pokoju wpadł zdyszany pułkownik. Już sam sposób gwałtowny, w jaki szarpnął przed domem za dzwonek, sposób, w jaki drzwi otworzył, zapowiadał niezwykłe jakieś zdarzenie.

Spojrzeliśmy na niego ciekawie. On, nie pozdrowiwszy nikogo, szybko do dziadka przystąpił, chwycił go za rękę i pospiesznie wyrzekł: „Wiesz już?“

Dziadek szeroko rozwarł oczy i zbladł przeraźliwie:

— Co? nic nie wiem... Mów! Mów dla Boga!

Głos uwiązł mu w krtani. I Bunia też wylękłą twarz do pułkownika zwróciła...

A pułkownik począł mówić z namaszczeniem:

— Złe wieści... złe wieści przynoszę, kochani, drodzy państwo... Może zresztą okażą się jeszcze fałszywemi. Z serca życzę... Jednak trzeba się przygotować, uzbroić zawczasu w siłę do zniesienia ciosu... trzeba mężnie stawić czoło...

Nie! nigdy nie zapomnę słów jego i tonu... Słów rzekomego współczucia, tonu uroczystego, w którym przebijało skryte zadowolenie... Jeżeli nie posądzam pułkownika wprost o radość z cudzego nieszczęścia, to jednak przekonany jestem, że możliwość oznajmienia złych wieści niepospolitą sprawiała mu przyjemność. Wkońcu urwał przedmowę, wyjął z kieszeni Gazetę Lwowską i przeczytał nam ustęp o krachu i ucieczce bankiera, u którego biedny mój dziad zna-

czną część swego ciężko zapracowanego majątku był złożył.

Nastąpiła chwila milczenia. Dziadek odetchnął parę razy głęboko, przetarł ruchem sobie zwykłym czoło, oparł głowę na ręku i, bez jednego słowa skargi, popadł w zadumę. Bunia spojrzała na ciocię Kostusię i — rzecz dziwna! wszyscy troje zdawali się z cicha składać dziękczynienia. Czyż cios ten nie był dość straszny? Czyż spodziewano się, a raczej obawiano czegoś gorszego jeszcze?

Na mnie, choć nie rozumiałem dobrze doniosłości naszej straty, słowo „ruina“, wymówione i powtórzone kilkakrotnie przez pułkownika, zrobiło tak wielkie wrażenie, takim napełniło mię strachem, że mi się na płacz zebrało. Dziadek zwrócił się ku mnie i począł mnie gładzić po głowie...

— Płaczesz, Henrysiu?.. rzekł sp okojnie.. ha! zapewne! Myśmy już starzy... więc to raczej jego strata... Myślałem, że praca moja jemu byt zapewni... Trudno! Inaczej Pan Bóg zarządził...

Bunia wtrąciła: Niech się Jego wola stanie!.. Może i tak lepiej.

Słowa poddania snać nie przypadły do smaku pułkownikowi.

— Może i tak lepiej!.. powtórzył. — To mi się podoba! Może i tak lepiej!.. Łatwo mówić!.. Chyba sobie państwo sprawy nie zdajecie ze skutków, które ta katastrofa za sobą pociągnie... Ubytek 50,000 fl., to dla Rothschilda fraszka, bagatela!.. Ale dla was, o ile mi są wasze stosunki znane, to zmiana trybu całego życia... to nie nędza, zapewne! ale granicząca z nią mierność...

— Damy sobie jakoś radę, damy! — rzekła ciocia Kostusia z energią.

— Nie w bogactwie szczęście, — dodała Bunia, — ale w zgodzie rodzinnej, w spokoju sumienia.

Pułkownik przerwał jej bez ceremonii i z rosnącym gniewem pięścią w gazetę uderzył:

— Listy gończe wysłane! Wielka mi sztuka! W czterdzieści ośm godzin po jego drapnięciu! W sam czas! Dyabła tam go

złapią! Zresztą, chociaż i złapią, to i co? Skradzionych pieniędzy nie odda. Skażą szelmę na kilka miesięcy więzienia i koniec... Pociecha dla poszkodowanych!.. A jemu, hultajowi, z oczu patrzało łajdactwo!.. Proroczym instynktem wiedziony, przestrzegałem was przed nim... tego mi nie zaprzeczycie!.. Przestrzegałem!..

Długo jeszcze przyjaciel domu na tę nutę mówił, nie odbierając żadnej odpowiedzi; dziadek nie zdawał się go nawet słyszeć; Bunia mną się zajęła, ciocia zaś Kostusia poczęła natychmiast z ołówkiem w ręku przemyśliwać nad sposobami zmniejszenia wydatków i związania końca z końcem.

Jeżeli kto poniesioną stratę na razie dotkliwie odczuł, to pewno ona, biedactwo; na jej barki podwójny spadł teraz ciężar, jednę służącą bowiem oddalono; ona więc, by wszystkiemu podołać, nowych trudów się podjąć musiała; ze świtem już była na nogach — późną nocą się kładła; oszczędności zaprowadzała gorliwie; ze stołu naszego znikły zupełnie dawne przysmaki — wino jeden dziadek do-

stawał; mnie częściej, niż dotąd, zalecała, abym rzeczy szanował, na kolanach się po ziemi nie czołgał, książek nie walał.

Zresztą, jak przed, tak i po naszej »ruinie«, niczego nie brak mi było na świecie, a żywot mój płynął spokojnie, żadną troską nie zamącony.

Pierwszej boleści, rzeczywistej i głębokiej, zaznałem dopiero w roku następnym. Miałem wówczas lat dwanaście.

Dziadek od owej pieniężnej katastrofy postarzał się znacznie; mało już zajmował się swymi drogimi zbiorami; często wspominał o potrzebie pozbycia się swej cennej biblioteki; antykwaryuszów, znoszących mu białe kruki, odprawiał z niczem; całemi godzinami przesiadywał przy kominku lub w dnie pogodne na werendzie, z oczyma wlepionemi w przestwór.

Pewnego dnia, gdy bawiąc się w jego obecności w ogrodzie, raz po raz spotkałem wejrzenie jego, uporczywie na mnie spoczywające, zbliżyłem się do niego z zapytaniem:

— Czy dziadzio czego potrzebuje?

On wziął mnie za rękę z jakimś dziwnym wyrazem smutku na twarzy.

— Henrysiu — rzekł po chwili — masz dopiero lat dwanaście... Więc długo jeszcze musisz się uczyć, zanim będziesz skończonym mężczyzną. Ja pewno tej chwili już nie dożyję. — Nie przerywaj mi, mój pieszczoszku... Przyszłość w ręku Boga... Nie nam ją zgłębiać, ani jej się lękać... Ja tylko chcę ci powiedzieć, zalecić, w pamięć twoją, w serduszko wpoić, że gorącem życzeniem twego starego dziadka, jego ustawiczną modlitwą jest, abyś całe życie twoje pozostał uczciwym człowiekiem. — A wiesz ty, mój chłopcze, co to jest uczciwość?...

Rozumiałem ja dobrze ogólne znaczenie tego słowa, jednak, zaskoczony pytaniem, określić go w pierwszej chwili nie mogłem jasno; więc zająknąłem się, a po namyśle rzekłem:

— Uczciwość, to... to nie kraść...

Dziadek poważnie skłonił głowę.

— Tak jest — nie kraść... Nie przywłaszczać sobie nigdy cudzego mienia, ni żadnej

własności; w niczem, ani na mieniu, ani na sławie bliźniego nie krzywdzić, we wszystkiem postępować tak, aby się czyste miało sumienie i czyste nazwisko dzieciom swoim zostawiło... Będziesz pamiętał?

— Będę.

Pogładził mnie parę razy po twarzy i rzekł:

— Idź się bawić teraz.

Tego samego dnia pod wieczór zaczął się użalać na podagrę w nodze. — Nazajutrz — była to niedziela Palmowa, a dzień cudownie piękny — mimo przestrzegań Buni, pojechał on ze mną karyolką do miasta na nabożeństwo; w kościele tłum był wielki i ścisk nieznośny; zauważyłem, siedząc obok niego, że surdut rozpiął i z trudnością oddychać się zdawał. Około godziny 4-ej po południu, gdy ciotka na nieszpory podążyła, Bunia zaś w swoim przyciemnionym pokoju spoczywała, ja znów z dziadkiem znalazłem się sam na sam, jak dnia poprzedniego, na werendzie; korzystając ze święta, zatopiłem się z najwyższem zajęciem w niedawno co przez ciotkę mi danych dziełach Coopera; on zaś na wpół

drzemał, trzymając przed sobą rozwartą księgę spowiedzi Św. Augustyna, ulubione jego niedzielne czytanie. Nagle, śród ciszy, wkoło nas panującej, rzadko kiedy turkotem wozu na drodze przerwanej, doleciały nas dalekie dźwięki dzwonów kościelnych. Mimowoli oderwałem oczy od książki i spojrzałem na niego. Jakaś zmiana w jego twarzy, niezwykły spokój, majestat, a zarazem i skamieniałość — sam nie wiem, jak wyraz ten nazwać — uderzyła mnie i zatrwożyła. Skoczyłem ku niemu, — szepnąłem »dziadziu!« najpierw cicho, potem głośniej, coraz głośniej, aż wreszcie szept mój w przeraźliwy krzyk się zamienił... Chwyciłem go za rękę, opadła bezwładnie!.. był nieżywy!..

Oszczędził mu Pan Bóg w miłosierdziu swojem długich cierpień, trwogi konania, bólu rozstania, wysłał po sługę swego Anioła Śmierci, który go śród rozmyślań o wieczności do wieczności uniósł...

O te dnie straszne pierwszej żałoby! Te łzy, ta boleść Buni, cioci Kostusi, ten smutek ogólny i ten dalszy bieg powszedniego życia,

które się ludzką boleścią ani na sekundę powstrzymać nie da!

Daremnie usiłował-bym wrażenia moje opisać; — wszystko się dziwnie w pamięci mojej, jeżeli nie zatarło, to pomieszało; jasno w niej pozostał wyryty tylko jeden obraz: eksportacya. Widzę przedpokój, zamieniony w rodzaj kaplicy; na wywyższeniu śród gorejących świateł stoi wielka dębowa trumna, zarzucona kwiatami; dokoła ciśnie się tłum ciekawy obcych ludzi, których poważnie u progu wita pułkownik, w czarną, odświętną przybrany czamarę; urywki różnych przytłumionych rozmów dolatują uszu moich, po części zagłuszone pompatycznym głosem pułkownika: Cios straszny... niespodziewany.... Strata niepowetowana... Przestrzegałem nieraz... przestrzegałem...

Obok mnie rozlega się bez przerwy gwałtowne łkanie; wzrok mój pada na pochyloną postać profesora Hudelki, który z oczyma, wlepionemi w trumnę, zalewa się potokiem gorących łez i co chwila swą zatabaczoną, kraciastą chustką po twarzy je rozmazuje...

Przez sekundę, mgnienie oka, widok ten budzi we mnie coś nakształt uśmiechu, na sekundę zapominam... a wtem głos basowy księży intonuje przejmujący psalm «Miserere mei Deus«; tłum się porusza, rozstępuje, zdejmują świece z katafalku, podnoszą trumnę, a ja pojmuję, że dziadzio mój najdroższy na zawsze dom nasz opuszcza i głośnym wybucham płaczem.

. . . .

Wszystko przemija, a czas wszystko koi; ukoił niebawem i naszą pierwszą boleść. Powoli życie do dawnego wróciło ładu; dworek wywietrzono, uporządkowano; do pokoju mego dziadka przeniosła się Bunia, ja zaś jej sypialny, jako widniejszy i obszerniejszy od mojego dotychczasowego, zająłem; korzystając z cudownej pogody, spędzaliśmy wszystkie wolne godziny to na werendzie, to w ogrodzie, skąd co kilka dni wynosiliśmy snopy najpiękniejszych róż, by je składać na grobie dziadka.

Bunia, choć przybita i smutna bardzo, znosiła jednak ból swój z tym spokojem, jaki

daje wiek podeszły i wiara, przytem zdawała się mieć myśl wiecznie i wyłącznie jednym wypadkiem dnia zajętą: wyczekiwała przybycia listonosza.

Nieraz, gdy koło godziny trzeciej krok jaki zabrzmiał na drodze, wzdłuż ogrodu naszego się ciągnącej, podnosiła swą białą głowę, nasuwała zielony daszek na oczy i chciwie ku sztachetom spoglądała. A biedne jej oczy próżno się natężały — nic! zgoła nic dojrzeć już nie mogły!... Czasami przywoływała mnie do siebie:

— Henrysiu, skoczno do furtki! Wyjrzyj na drogę, czy tam listonosz nie idzie...

Dnie płynęły, listonosz dwa razy dziennie drogą przechodził, ale za każdym razem furtkę naszą mijał; a Bunia z westchnieniem znów swą białą głowę na piersi opuszczała.

Raz — było to może sześć tygodni po śmierci dziadka — zaciekawiony spytałem:

— Od kogo też Bunia tak listu wyczekuje?

Ona drgnęła i z przestrachem obejrzała się na miejsce, gdzie zawsze dawniej dziadek przesiadywał; potem dała mi ręką znak, abym

się do niej zbliżył i przyciszonym głosem poczęła mówić:

— Czyś ty nigdy nie słyszał o twoim wuju Zygmuncie?

— Nigdy! — odrzekłem zdziwiony, — kto to jest, Buniu?

— To jest mój syn, kotku, — mój jedyny, ukochany syn.

Tu Buni łzy w oczach zabłysły, ale ja z naturalną ciekawością dziecka nalegałem dalej:

— O, niech mi Bunia o nim opowie! Gdzie on jest? Czemu tu do nas nigdy nie przychodzi?

Bunia rzekła: Widzisz, kotku, dawno już... o! tak, dawno temu, dziadzio się na Zygmunta pogniewał.

— Za co? — zagadnąłem.

— Zygmunt był chłopcem bardzo porywczym, a przytem i bardzo lekkomyślnym... miał złote serce, ale głowę szaloną... Jako dziecko jeszcze, broił bez liku, prawie bezwiednie, później żałował za swe przewinienia, przepraszał, obiecywał poprawę... A gdy chciał, umiał być tak pieszczotliwy, tak potulny, że

nikt długo urazy do niego żywić nie był w stanie; wszyscy za nim, bez wyjątku, przepadali!.. I zdolności miał wielkie!.. uczył się doskonale... kiedy chciał... Cóż, kiedy nie zawsze chciał! Twierdził, że go tam w szkołach podobno prześladowano... Dziadzio znów był nieraz zbyt surowy, wymagający... powstawały starcia, przy których się obaj unosili... Szczegółów dowiesz się później... Dość, że kiedy dorósł, dziadzio mu raz, skutkiem jego postępowania, do domu przyjeżdżać przez jakiś czas zabronił. — On, nieborak, pewno więcej ze zmartwienia, niż na przekór, dał się wciągnąć do złego towarzystwa i coraz bardziej swem prowadzeniem dziadzię gryzł i gniewał... Coraz smutniejsze o nim dochodziły nas wieści, aż naraz doszła... okropna!.. Inni zawinili, — na niego padło podejrzenie!.. Nikt się nie znalazł, ktoby go wziął w obronę, nikt się za nim nie ujął!.. Moje biedne, nieszczęśliwe chłopczysko, zamiast się wytłómaczyć, niewinność swoją wykazać, dowieść, bo niewinny był z pewnością! — stracił głowę, ląkł się gniewu ojca, hańby... i uciekł...

— Dokąd? — spytałem.

— Bóg raczy wiedzieć... długie lata spędził w Kalifornii, później w Meksyku, w Indyach, w Tonkinie... I złoto kopał, i handlem się trudnił, i w wojsku służył, i różne, różne przechodził koleje, wszędzie z biedą walcząc... Czasem, bywało, pisał do mnie lub do cioci Kostusi dosyć regularnie, dawał obszerne o sobie wiadomości, o wsparcie błagał... Czasem mijały i lata bez słówka od niego!.. Oj ciężka, była jego dola!..

— Dziadzio nigdy nie przebaczył?

— Nigdy, kotku... zakazał imię jego przed sobą wymawiać... Ja ci całej sprawy wyjaśnić teraz nie mogę, Henrysiu, ale widzisz, wszystkie pozory przeciw niemu były... cały świat miał go za winnego, oprócz mnie jednej... Dla dziadzi rzekome splamienie nazwiska było ciosem tak strasznym, że bez wahania porzucił stanowisko swoje przy głównym szpitalu, ze wszystkimi zerwał, Warszawę opuścił, przeniósł się do tego tu zakątka i tu się, wraz ze wstydem swoim, jak

mawiał, zagrzebał... Do śmierci sądu swego nie zmienił...

Babka umilkła, ja się głęboko zamyśliłem...

— A teraz — spytałem po chwili — teraz... czy powróci?

— Bo ja wiem! Bo ja wiem!.. Tyle już listów moich bez odpowiedzi pozostało!.. Jego ostatni był z Chicago... wysłany w przeddzień wyjazdu do Baltimore. Nosił się z jakiemiś nowymi projektami, pisał o zwrocie szczęścia, o jakimś swoim wynalazku, mającym mu majątek zapewnić... odtąd nic nie wiem... nic... wciąż czekam...

Rozmowa nasza przerwaną została skrzypnięciem furtki ogrodowej.

Bunia natychmiast podniosła głowę, pytając: Kto to?

Odrzekłem: Tylko profesor... I pobiegłem się z nim przywitać.

Poczciwy profesor, od śmierci dziadka stał się u nas częstszym gościem, niż dawniej; odwiedzał nas nawet śród tygodnia, starając się wszelkimi możliwymi sposobami samotność naszą rozerwać; czasem wieczorem przynosił

swoje skrzypce i wygrywał na nich z natchnionym wzrokiem, w sufit wlepionym, własne utwory.

Tym razem przyszedł bez skrzypiec, ale zato z dziwnie uroczystą i zmienioną twarzą; zmianę tę spostrzegłem od razu, a że byłem u niego w łaskach, więc bez ogródki spytałem:

— Czemu to profesor dziś okulary binoklami zastąpił?

On zmieszał się mocno.

— O! zaraz zobaczył! doprawdy!.. — zawołał z przymuszonym śmiechem — okulary się stłukły... przypadek! No! nic więcej!.. Co w tem dziwnego?

Sięgnął do kieszeni po tabakierkę, ale jej nie wydobył, tylko ruchem nerwowym począł gładzić swe wiecznie rozczochrane włosy i o ciocię Kostusię zapytał.

— Pójdź jej oznajmić, że profesor przyszedł, — rzekła do mnie Bunia, a ja spiesznie poleciałem wykonać jej zlecenie, aby módz potem we własnym pokoju się zamknąć i dowoli zastanowić nad dopiero co usłyszaną tajemnicą.

Wielkie ona na mnie zrobiła wrażenie, — ciekawość bezdenną we mnie rozbudziła.

Ów nieznany wuj, który tyle łez Bunię kosztował, tyle lat po szerokim tułał się świecie, własnoręcznie złota szukał, w rzeczywistych walczył bitwach, oblekł od razu w moich oczach postać bohatera. Krótko tylko i pobieżnie myśl moją zatrzymałem nad tym jego za młodu popełnionym czynem, który dziadka tak srogo rozgniewał: — Bunia zresztą z takiem przekonaniem powiedziała: „On był z pewnością niewinny!“ że i ja na ślepo w niewinność jego uwierzyłem. Marzyłem teraz o jego możliwym powrocie i od razu gorąco tego powrotu zapragnąłem, już dla tego samego, aby na własne uszy usłyszeć opowieści jego rozlicznych prawdziwych przygód, które się równać musiały opowieściom z tysiąca i jednej nocy; wyobraźnia moja tak silnie była podniecona, że o niczem innem myśleć nie byłem w stanie. A jednak, stało napisanem, że dzień ten miał nową przynieść mi niespodziankę.

Po mniej więcej półgodzinnym pobycie

w pokoju, wziąłem ulubioną moją książkę Coopera i poszedłem usiąść na ławce, tuż pod tylnemi oknami saloniku stojącej. Wiedziałem, że tam mnie nikt nie odszuka i nie przerwie dalszego ciągu moich rozmyślań. Rozpuściłem im też ponownie wodze. Nagle zbudził mię i do rzeczywistości napowrót przywołał odgłos kroków w salonie i rozmowy w nim prowadzonej. Okna były rozwarte; każde słowo wyraźnie mię dochodziło.

Profesor mówił głosem wzruszonym:

— Pragnąłem rozmówić się z panią na osobności, droga panno Konstancyo, mam bowiem ważny, bardzo ważny interes...

Zaciął się, a ciocia odrzekła:

— Słucham.

— Pani wie, a raczej pani nie wie, jak ja ją wysoko cenię, poważam... jak na jej sądzie polegam... jak mi na jej radzie zależy... Otóż tu chodzi o los mój, o szczęście całego życia. —

Na te słowa przyszło mi do głowy, że profesor po raz setny się cioci Kostusi oświadczać zamierza i ona tę samą myśl

mieć musiała, bo słyszałem dokładnie, jak krzesło odsunęła, przerywając mu:

— Ależ, kochany profesorze, dajmy temu jeszcze pokój...

On ciągnął dalej:

— Ja wiem, że jestem już stary, lecz z drugiej strony i starsi odemnie się żenią... Podobać się nie mogę, prawda! zwłaszcza takiej młodej, ślicznej istocie... Ale jakbym jej byt zapewnił, życie według sił osłodził, otoczył ją najczulszą opieką, miłością; jakby widziała, że ja niczego, prócz jej szczęścia, nie pragnę, to możeby się z czasem i przywiązała... co pani myśli? Jakże?..

Nastała chwila milczenia.

Wreszcie ciocia Kostusia rzekła cicho, jakby z pewnem wysileniem:

— Ja nie rozumiem... ja nie wiem, o kim i o czem profesor mówisz...

A on wybuchnął porywczo i gwałtownie, tak, że aż tchu złapać nie mógł i językiem plątał:

— Ot! zgłupiałem do reszty!.. Prawda! Ja panią o radę pytam, a pani nic jeszcze

nie wie!.. Ja już dawno chciałem mówić, ale się bałem, wahałem... bo to przecie... małżeństwo, to nie żart! A ona taka młoda! Ja ją, pani, przed rokiem poznałem, daję jej lekcye śpiewu... ona ma głos... ach! co za głos! Chce do teatru wstąpić... Ale mi strach... Jej do teatru szkoda... A teraz w dodatku umarła jej matka... Została sama na świecie, bez opieki, bez nikogo... w nędzy... Pani rozumie teraz, dla czego ja się z nią chcę żenić?..

Zrozumiałem i ja, choć nieco późno, że zwierzenia biednego profesora nie były dla moich uszu przeznaczone; — opuściłem więc po cichu moją ławkę i wyniosłem się w głąb ogrodu.

Kiedy nas godzina wieczerzy znów wszystkich na werendzie zgromadziła, wynik narady profesora z ciotką wyczytałem na jego rozpromienionej twarzy. Już i Bunia musiała być w całą sprawę wtajemniczona, bo kilka razy z jego roztargnienia zażartowała; jedna ciocia wydała mi się przygnębiona, choć widocznie usiłująca przygnębienie to ukryć.

Przy rozstaniu rzekła jednak ze zwykłą sobie serdecznością:

— A więc, w niedzielę, profesorze, oczekujemy go z panną Alą — do widzenia!

A on ją w rękę pocałował, — przyczem mu po raz dziesiąty binokle z nosa spadły, — powtarzając z rozczuleniem:

— Do widzenia! Do widzenia! zobaczy pani, co to z niej za dobre, śliczne, kochane jest dziecko!..

Po jego odejściu, Bunia poczęła głową kiwać:

— Poczciwe człowieczysko!.. Jakie to do niego podobne, żenić się z ledwo sobie znaną panienką, dla wyratowania jej z nędzy... dla zapewnienia losu sierocie!.. Niech im Bóg pobłogosławi!.. Swoją drogą, Kostusiu, odżałować nie mogę żeś... swego czasu...

Ale ciocia Kostusia przerwała głosem, w którym jakby łzy drgały:

— Niech mameczka niczego nie żałuje; czyż nam z sobą razem nie dobrze?

. . . .

W niedzielę, jak było umówionem, przyprowadził nam po raz pierwszy profesor swoją narzeczoną. — Po raz pierwszy ujrzałem Alę...

Chciałbym -- a! chciałbym ją módz opisać, nie tak, jak na nią patrzałem później, ani jak patrzę, oczyma duszy, teraz, ale tak, jak ją wówczas memi dziecinnemi, a już oczarowanemi oczyma widziałem!..

We mnie, pamiętam, zapowiedziana wizyta nie budziła tyle ciekawości, ile jakiegoś rodzaju niechęci. Byłem z natury nieśmiały i dziki; każde zbliżenie się do osoby obcej kosztowało mię walkę i przymus; cóż dopiero powiedzieć o przypuszczeniu takiej osoby do naszego najbliższego zażyłego kółka, śród którego od dzieciństwa obracać się przywykłem?

Profesora szczerze kochałem; ale tak już egoizm stanowi cząstkę natury ludzkiej, że niemal żal do niego czułem za to jego niespodziewane postanowienie, uważając je za coś nas wszystkich wprost krzywdzącego.

Kiedy od furtki ogrodowej ujrzałem jego chudą postać, kroczącą w stronę naszego

dworku w towarzystwie drugiej, smukłej, czarno ubranej postaci, zemknąłem bez namysłu w najodleglejszy kąt ogrodu. Słyszałem nieco później, jak mię z werendy wołano; jednak ukrycie moje nie tak prędko opuściłem. W godzinę może potem dopiero odwaga mi powróciła. Wolnym krokiem zbliżyłem się ku domowi, pilnie nadsłuchując, skąd mię głosy dolecą. Stentorowy śmiech profesora rozległ się niebawem w salonie, tam więc podążyłem; drzwi do pokoju były otwarte; cicho, niepostrzeżenie się przez nie wsunąłem i jednym rzutem oka ogarnąłem wszystkich obecnych. Bunia z uśmiechniętą twarzą siedziała na swem zwykłem miejscu przed kominem; profesor stał obok fortepianu i nuty z teki wyciągał; ciocia Kostusia wyłącznie zajętą się zdawała ową smukłą, czarno ubraną postacią, ż daleka przeze mnie dojrzaną, a ona, Ala, w tej chwili ku niej zwracała swe ciemne, wpół zmrużone, oczy.

Jeżeli za mały byłem, aby dostrzedz, odrazu zauważyć poszczególne rysy obcej mi

twarzy, to te jej ciemne, wpół zmrużone oczy zauważyłem odrazu. I zauważyłem zarazem, że była bardzo młoda, i bardzo piękna, i bardzo jakaś strwożona.

Ciocia Kostusia pierwsza mię ujrzała.

— A gdzieżeś ty siedział, Henrysiu, że tak późno przychodzisz? Wołaliśmy cię, wołali i dowołać się nie mogli... No, chodź że tu... przywitaj się z panną Alą...

Ona ku mnie rękę wyciągnęła.

— Ja wiem — rzekła — że Henryś jest przyjacielem profesora; może i moim z czasem zostanie; co, Henrysiu?

Zaczerwieniłem się po uszy i, nizko spuszczając głowę, mruknąłem coś, co mogło za „tak“ uchodzić. A równocześnie dwóch myśli byłem świadomy; najpierw: Jak ona dziwnie R wymawia! Zupełnie inaczej niż wszyscy!.. a po drugie: Czemu też moją rękę tak długo w swojej trzyma!.. Żeby ją też już raz puściła!..

Puściła niebawem, powtarzając z naciskiem:

— Jak się lepiej poznamy, to się z pewnością i polubimy — z pewnością!..

A ciocia, chcąc wytłómaczyć moje milczenie, dodała:

— Z niego dzikus okropny!

Dałem tego dowody, bo tego wieczoru nikt głosu mego nie usłyszał; ale jeżeli nie mówiłem, to patrzałem i słuchałem za to z całych sił i każdy szczegół tych kilku godzin na zawsze się w pamięci mojej wyrył.

Profesor chciał się widocznie popisać wszelkiemi talentami swej narzeczonej; w tym celu przyniósł z sobą skrzypce.

Gdy się ściemniło i rozmowa mniej ożywioną się stała, zbliżył się do niej i rzekł:

— Teraz, Ala, będziesz śpiewać... dobrze?

Wstała posłusznie i odpowiedziała:

— Dobrze; — co pan każe?

— Serenadę Bragi, na początek... umiesz ją na pamięć.

Począł, strojąc skrzypce, tłómaczyć nam, profanom, znaczenie słów tej serenady, a więc: pożegnanie z matką konającego dziecka, które już słyszy daleki śpiew aniołów;

potem spojrzał na Alę, dał znak i — popłynęła pieśń...

Znacie wy Serenadę Bragi?..

Wrażenia, jakie na mnie, na mój umysł, na moje nerwy wywarła, upojenia, jakiem serce moje wezbrało, ani nie spróbuję słowami określić. Słuchałem tej melodyi cudownej — do głębi wstrząsającego jęku skrzypiec, głosu Ali, w którym drżał ból i rozkosz naprzemian, wzrok wpoiłem w zaledwie już dostrzegalną jej postać, w jej ciemne, w pół zmrużone oczy, i moje mi łzami zaszły...

„...O mamma, buona notte, io seguo il suon... io segu il suon...“

Wstydziłem się płakać, zagryzałem wargi, a łzy mi strumieniem po twarzy spływały...

Kiedy się ostatnie akorda fortepianu urwały, ostatnie przejmujące „Io seguo il suon“ w powietrzu rozwiało, zbudziłem się jakby ze snu. Ciocia Kostusia, drżąca cała ze wzruszenia, przystąpiła do Ali, chwyciła ją za głowę, a całując, powtarzała tylko, słowami profesora:

— Co to za głos! Dziecko moje! Co to za głos!..

A profesor tryumfował otwarcie, z odniesionego wrażenia wielce zadowolony:

— Nie mówiłem? prawda? Ładnie śpiewa... podoba się, co?

I sięgał raz po raz, ruchem mechanicznym, do kieszeni po tabakierkę, której jednak nie wydobywał.

Ale Ala takich tryumfów zwyczajną być musiała, bo pochwały chłodno przyjęła, a na jej usta zaledwie słaby uśmieszek wystąpił.

— Zmęczona dziś jestem — rzekła — zaśpiewam jeszcze... cóż takiego?.. Ot! Rubinsteina Liedchen... dobrze, panie profesorze? I jeżeli pan pozwoli, na tem zakończę...

— To lepiej wybierz jaką pieśń Gounoda... jedną z tych tutaj.

— Ach! ja tak Liedchen lubię!.. Liedchen takie śliczne!..

I swym ślicznym głosem, ze swemi ciemnemi, na wpół zmrużonemi oczyma, poczęła nucić:

Es war ein alter König,
Sein Herz war schwer — sein Haupt war grau,
Der arme alte König!..
Er nahm eine junge Frau...

Ileż-to razy miałem ja później piosnkę tę usłyszeć!

Cioci Kostusi widocznie jednak do smaku nie bardzo przypadła, bo wysłuchawszy jej, rzekła:

— Ja się tam na muzyce nie wiele rozumiem, ale wolę, gdy do ładnej melodyi i ładne słowa dołączone.

Profesor machnął ręką niedbale...

— Co tam słowa!.. To bardzo piękny kawałek!.. Ala ma racyę... i śpiewa go po mistrzowsku...

— Teraz na profesora kolej! — zawołała Ala, — niech się pan tylko nie każe prosić...

— Nigdy! — odparł, patrząc na nią przez swoje binokle z nietajonem uwielbieniem. — Rozkazuj! Czego pragniesz? Ja zawsze będę twym życzeniom posłuszny!..

— Więc pragnę, aby pan nam zagrał ostatni swój utwór...

I profesor, posłuszny, wsparł brodę na skrzypcach, oczy przewrócił i począł grać.

Przypuszczam, że to, co grał, musiało być ładne, bo po każdym kawałku zbierał rzęsiste oklaski; ale co do mnie, nic już nie słyszałem. W uszach brzmiał mi chór aniołów, w sercu słowa pożegnalne: O Mamma, buona notte... io seguo il suon...

Już byłem pod czarem...

Owa pierwsza wizyta Ali była tylko zapowiedzią bardzo częstych późniejszych; swą urodą, obejściem i głosem, w krótkim czasie potrafiła podbić zupełnie Bunię i ciocię Kostusię. Ta ostatnia, ze zwykłą sobie dobrocią, wzięła ją niejako pod swoją opiekę, zajęła się jej interesami, sporządzeniem wyprawy i pokochała ją całem sercem.

Ślub odbył się w dwa miesiące później, nadzwyczaj skromnie i cicho, aby uniknąć komentarzy ludzkich, a przytem i dlatego, że Ala była jeszcze w żałobie. Po tej uroczystości, na której, z powodu szkoły, nie byłem obecny, całe grono weselne, składa-

jące się z sześciu osób, bo z nowożeńców, cioci Kostusi, pułkownika, jakiejś koleżanki Ali i dalekiego krewnego profesora, przybyło do nas na śniadanie. I ten obrazek stoi mi dotąd przed oczyma. Mógłbym z pamięci odrysować wyrazy twarzy wszystkich tych, którzy wówczas zasiedli do tego stołu, przystrojonego w najładniejsze kwiaty, na jakie się tylko nasz ogród mógł zdobyć. Jakiem szczęściem promieniał poczciwy profesor! A jak mu się też świeciła wypomadowana, wygładzona czupryna! Jak nieswojo zdawał się czuć w swym nowym, opiętym, a już poplamionym surducie! Ileż mu to razy binokle z nosa na talerz upadły!.. A i pułkownika pomnę doskonale, i ów drwiący jego uśmiech, z jakim śledził ruchy przyjaciela, i tę galanteryę, z jaką się do ucha pani Ali pochylał!.. A ona!.. Ala! Jaka blada była... jaka zmieszana, a jak śliczna w swej popielatej sukience i mirtowym wianku!..

Gdy po śniadaniu całe towarzystwo do ogrodu wyszło, dosłyszałem pułkownika, mówiącego do Buni:

— Zwaryował, szanowna pani, zwaryował nieborak najzupełniej!.. Czy to ma sens? W jego wieku!.. A przytem kocha się jak kot!.. Zamienił okulary na binokle, przestał zażywać tabaki, i myśli, że się jej zdoła podobać!.. Czysta aberracya umysłowa!.. Słowo daję, że aż litość bierze!..

Potem zniżył głos i tylko urywane wyrazy mnie już doszły:

— Kwestya czasu... nic więcej... prosta kwestya czasu... gotów jestem się założyć...

Nie rozumiałem wówczas słów pułkownika, ale to rozumiałem, że profesor był stary i brzydki, a Ala młoda i ładna, i że tworzyli wielce niedobraną parę.

Po ślubie rozpoczęła się nowa dla wszystkich era; dla profesora, najszczęśliwsza pewno w jego życiu, a i dla nas bardziej ożywiona od poprzednich.

Pani Ala odwiedzała nas zawsze raz w tydzień, t. j. w niedzielę, według dawnej tradycyi, razem z mężem; śród tygodnia, w wolnych chwilach, a tych miała podostatkiem, przybiegała nieraz sama i te jej wizyty na-

pełniały nasz zwykle cichy i raczej smutny dom jakby całym zasobem życia i wesołości. Na Buni zamyśloną twarz, sam odgłos jej kroku, sam dźwięk srebrzysty jej śmiechu, wywoływał wyraz ożywienia; zdawała się ona przynosić z sobą jakby świeży, wonny powiew wiosenny, zdawała się wkoło siebie rzucać jakby garść promieni słonecznych... I ciocię Kostusię coraz silniej za serce chwytała swem wesołem szczebiotaniem, swą gotowością do przyłożenia ręki do wszelkich zajęć gospodarskich, całą siłą swej urody i swego uroku; mnie zaś z dniem każdym bardziej oswajała.

Chwilami — bywało — zapominałem zupełnie o mojej dzikości; jej swoboda i moją budziła, jej pustota i mnie się udzielała; goniliśmy się po ogrodzie lub bawili w piłkę, jak dwoje rówieśników; innym razem znów, bez powodu, dzikość porywała mię na nowo; stroniłem od niej, dopóki głos jej nie przywołał mię napowrót do jej boku, dopóki ręka jej pieszczotliwie nie spoczęła na mojej głowie...

— Uciekasz ode mnie... unikasz mnie?.. Czemu mnie unikasz, Riri?..

„Riri“, było to kiedyś żartem nadane mi przez nią przezwisko, li tylko przez nią używane, a wymawiała je w sobie właściwy sposób „Uiui“, jak nikt inny...

Z czasem nawet i te sporadyczne moje napady dzikości przeminęły i ustały. Przywiązałem się do niej, jak brat do starszej siostry. Mówiłem z nią zawsze niewiele, bo małomówny byłem z najbliższymi, ale wyglądałem jej przyjścia z upragnieniem, smuciłem się odejściem, a podczas pobytu jej u nas, nadewszystko lubiłem gdzieś w jej pobliżu się znajdować.

Ona posługiwała się moją osobą często, a że wszelkie jej zlecenia spełniałem chętnie, więc mnie swoim paziem zwała; mały paź zaś nigdy szczęśliwszym się nie czuł, jak kiedy wzrok swój mógł wpoić w jej ciemne, wpół zmrużone oczy i całą swą dziecinną duszą, całem sercem, jeszcze uśpionem, ale już, już jakiegoś przebudzenia świadomem, wsłuchiwać się w jej śpiew.

Minął rok, a z początkiem nowego zaszła we mnie zmiana, czy nagła, czy stopniowa, powiedzieć nie umiem, ale zmiana dosyć jednak znaczna, by i mnie samemu podpadła.

Owa nieśmiałość, której się już byłem oddawna w jej obecności pozbył, wróciła teraz, spotęgowana. Kochając panią Alę po dawnemu, inaczej z nią postępowałem. I tak, kiedy po długiem a niecierpliwem jej wyczekiwaniu, nareszcie ją ujrzałem nadchodzącą, ogarniał mnie jakiś strach, sam nie wiem, czy przed nią, czy przed naszem przywitaniem, czy przed wejściem do salonu. Wydawałem się sam sobie śmieszny; mimo to, strach ten zapędzał mnie do mego pokoju, lub gdzieś w głąb ogrodu, w której się czułem bezpieczny i którą dopiero po długich namysłach opuszczałem. A śród tych namysłów i wahań, powtarzałem sobie ciągle w duszy: „Muszą się dziwić mojej nieobecności... trzeba wrócić... już przeszło kwadrans jak tu jestem... będą mnie szukać... chciałbym wiedzieć, co tam robią... o czem mówią... gdzie siedzą... czy pani Ala jest przy Buni,

czy może w pokoju cioci Kostusi? Trzeba koniecznie wrócić...“

I mówiąc: trzeba koniecznie wrócić, pozostawałem w ukryciu.

Nieraz, spotkawszy z nienacka jej wejrzenie, czerwieniłem się bez przyczyny; lada jej słowo, lada pieszczota, mieszały mnie tak, że wprost przed nią uciekałem, a uciekając, gorąco pragnąłem zbliżenia. Kiedy do mnie, zwłaszcza przy drugich, zagadała, spuszczałem oczy i odpowiadałem pół słówkami, z wysileniem, jakby mnie konieczność odpowiedzi nudziła lub niecierpliwiła, a gdy, zrażona brakiem uprzejmości z mojej strony, urywała rozmowę, serce mi wzbierało żalem i urazą...

Wszystko, co tu opisuję, jest przejściem może bardzo naturalnem i pospolitem; dziś pojmuję je i tłómaczę sobie bez trudności, a jednak każde uczucie silne a bezwiedne, czyli siebie samo nieświadome, stanowi dla mnie, po dziś dzień, zagadkę, do najwyższego stopnia ciekawą. Dzieci szczególnie, choć wrażeń swych nie analizują, czują zwy-

kle prosto i jasno, wiedzą, co czują i dlaczego co czują. Pierwsze zatem uczucie niejasne, obce, zawikłane, które w nich się rodzi, rodzi zarazem niepokój i jakby trwogę.

Raz, kiedy pani Ala się u nas wraz z mężem znajdowała, on się zbliżył do niej i spytał:

— Coś ty dziś taka milcząca? Czyś chora?

— Nie chora — odrzekła — ale jakaś nieswoja... Głowa mnie boli i dreszcze mnie przechodzą. Musiałam się zaziębić.

Profesor objął ją wpół, przygarnął do siebie i bardzo tkliwie począł pieścić, powtarzając z wyrazem wielkiej czułości:

— Moje biedactwo! Moje ty biedactwo kochane, drogie... niech Bóg uchowa, żebyś mi się nie rozchorowała...

I dotknął ustami jej ust.

Czemu mnie na ten widok serce się tak ścisnęło? Czemu uciekłem do swego pokoju, a rzuciwszy się na łóżko, począłem po ciemku płakać tak gwałtownie, namiętnie, że aż twarz w poduszkę skryłem, by mnie ciocia Kostusia nie usłyszała?..

Nie wiedziałem sam.

Dziś pytam: Jak można cierpieć, a nie wiedzieć, dlaczego się cierpi?..

Jeżeli jednak nikt z mego otoczenia nie zauważył tej zmiany, zaszłej w mojem usposobieniu, nie uszła ona uwadze pani Ali. Początkowo śledziła mię z nieokreślonym wyrazem zdziwienia, a razem i rozbawienia w swych ciemnych, wpół zmrużonych oczach; później, zdziwienie w zupełności ustąpiło rozbawieniu, i często, kiedy wzrok jej lub dotknięcie ręki wywołało ów gorący, dla mnie niewytłómaczony, a tak przykry rumieniec na moje oblicze, ona widocznie lubowała się w powiększaniu jeszcze mego zmieszania, czy to jakiem słowem, czy nawet tylko swym tajemniczym uśmiechem.

Całą wiosnę, całe lato trwał u mnie ten stan rozstroju nerwowego; z końcem lata i moich wakacyi, wzmógł się znacznie, skutkiem zaszłego w życiu naszem niespodziewanego zdarzenia.

Pewnego ranka wybiegłem, jak zawsze, do ogrodu z ulubioną książką, wdrapałem się na niewysokie drzewo, w pobliżu furtki

rosnące, i usadowiwszy się śród gałęzi w faworytalnej mojej pozycyi, zatopiłem się niebawem w czytaniu. Odgłos kroków na drodze, którą z wywyższenia mego dojrzeć doskonale mogłem, oderwał moją uwagę. Ujrzałem mężczyznę, zbliżającego się szybko ku naszemu dworkowi; był mi nieznany i wyglądał jakoś obco. Szedł kołyszącym krokiem, z pochyloną nieco naprzód postacią; twarz ocieniona kapeluszem, o szerokiem rondzie, pokryta gęstym, ciemnym zarostem, wydała mi się już niemłodą, smagłą i chmurną. Przy sztachetach zatrzymał się i wzrok w ogród zatopił, a wzrok musiał mieć przenikliwy, kiedy i mnie śród moich gałęzi odrazu odkrył. Chmurne oblicze mu się rozjaśniło, białe zęby błysły śród ciemnej brody i zawołał bez ceremonii, otwierając furtkę:

— A czy nie mógłbyś zlecieć na chwilę z twego gniazda, mój chłopcze, aby się ze mną rozmówić?

Serce mi na te słowa silniej, rodzajem przeczucia, uderzyło; w oka mgnieniu znalazłem się na ziemi; przybysz, z blizka wcale

groźno nie wyglądał, a nawet młodszym mi się wydał, niż z drzewa; ów wyraz surowy, który mi zrazu podpadł, nadawały mu zrośnięte nad nosem brwi; coś w jego twarzy, sam zresztą nie wiem co, czy wzrok, czy może uśmiech, przypominał mi ciocię Kostusię. A podczas, gdy te spostrzeżenia w duchu robiłem, on się jeszcze bardziej ku mnie zbliżył i, kładąc mi poufale rękę na ramieniu, począł pytać nieco przytłumionym głosem:

— Kto mieszka w tym dworku?

— Moja babka, pani Łaniecka.

— A!.. Toś ty jest mały Kurt?.. Proszę!.. A babka mieszka sama?

— Z ciocią Kostusią.

Chwilę milczał, potem odwrócił głowę i spytał:

— Kiedy dziadek umarł?

— Półtora roku temu... nawet więcej...

— Babka zdrowa?

— Tak... dosyć, tylko nie widzi już nic.

— Nie widzi!.. powtórzył jakby z osłupieniem, — mój Boże!..

I zamyślił się.

— Czy pan ma do Buni interes?.. wtrąciłem. — Ja pana zaprowadzę...

— Nie! Nie! odparł żywo. — Ja mam wpierw interes do Kostusi, do cioci Kostusi... Idź po nią, przyprowadź ją tu... rozumiesz?

Właśnie się do domu zwróciłem w zamiarze odszukania ciotki, gdy wtem z werendy głos babki nas doleciał:

— Henrysiu... z kim to rozmawiasz? Kto przyszedł?

I jej drobna, zgarbiona postać ukazała się na schodach. Postępowała wolno, ze swym zielonym daszkiem na czole, laską drogę ostrożnie przed sobą macając.

Zakłopotany, spojrzałem na nieznajomego, ale on zdawał się cały widokiem jej przejęty i do głębi wstrząśnięty; twarz mu pobladła, usta kurczowo zacisnął.

— To... rzekłem po namyśle, to z interesem... do cioci Kostusi...

— Kto taki? Kto? — powtórzyła.

Zamilkłem, a ona odrazu, jakby jej biedne wypłakane oczy były się naraz otwo-

rzyły, jakby rzeczywiście była w tej chwili przejrzała, wypuściła kij, drżące ręce przed siebie wyciągnęła i z dzikim, rozdzierającym krzykiem radości, zbiegła ze schodów i rzuciła się ku nam...

— To on! on! on!.. Nareszcie!.. Zygmunt!.. Nareszcie!.. O mój jedyny!..

A nieznajomy podbiegł do niej i padli sobie w objęcia...

. . . .

Szczęście nie jest zdolne zabić: inaczej byłaby Bunia nadmiaru jego nie przeżyła. Podobnego szału, ogromu radości, nigdy w życiu nie widziałem... Czem w porównaniu taka naprzykład parabola o Synu Marnotrawnym?..

Powrót wuja Zygmunta był zdarzeniem tak niespodziewanem, choć przez tyle długich lat wyczekiwanem i upragnionem, że pióro moje niezdolne jest opisać wrażenia, które na nas wszystkich wywarł.

W pierwszych czasach podzielałem całą duszą upojenie Buni i radość cioci Kostusi, nie dziwiłem im się wcale; dziś, inaczej rze-

czy sądząc, dziwię się i dość wydziwić nie mogę...

W oczach dziada i świata wuj był przed laty ciężko zawinił i okrył nazwisko swoje hańbą; że ciocia Kostusia zdanie ojca dzieliła, o tem jestem jak najmocniej przekonany: różnica między nimi zachodziła tylko ta, że w dykcyonarzu ciotki słowo „potępiać“ nie istniało wcale, a natomiast zastąpionem było słowem „przebaczać“; jedna Bunia w niewinność syna wierzyła, ale za to wierzyła tak silnie, że nigdy cienia wątpliwości w tej mierze nie uczuła.

W każdym razie, winny czy nie winny, wuj był przez całe swe dotychczasowe życie przyniósł swoim najbliższym tylko wstyd, zmartwienie i niepokój.

To pozostawało faktem. Przytem, od najmłodszych lat przywykły do cudzej pomocy, tak dalece na tę pomoc zawsze liczył, że nigdy, a przynajmniej bardzo rzadko się bez niej obywał. Przed utratą kapitaliku dziadka, babka czerpała bez namysłu ni znacznego uszczerbku we wspólnej kasie, aby liczne,

naglące żądania syna zaspokoić; po „ruinie“ naszej musiano się jednak z każdym groszem liczyć; wszystko to więc, co do jego rąk odtąd płynęło — i w nich się rozpływało, były to oszczędności, z ujmą wygód Buni i ciotki, czasem nawet z ujmą ich potrzeb czynione...

On o tem nie zdawał się pamiętać. Matkę i siostrę kochał po swojemu, to znaczy, po sobie; ich ofiary dla niego uważał za zupełnie naturalne, niemal obowiązkowe; przez myśl mu chyba nigdy nie przeszło, żeby mógł i powinien, nietylko sam na swoje utrzymanie zarabiać, ale też i przyczynić się do utrzymania rodziny. Egoizm taki może być wstrętny, jednak wyznać muszę, nie na wuja spada cała za niego odpowiedzialność; ślepa miłość Buni, zbytnia pobłażliwość cioci Kostusi, przyczyniały się niewątpliwie wiele do rozwinięcia i spotęgowania tego samolubstwa.

Gdyby wuj był ojca zastał przy życiu, nie umiem sobie nawet wyobrazić, jakieby uczucia powrót jego był obudził; w położeniu naszem obecnem wywołał bezmierną, naj-

żywszą radość, nic więcej! żadnej z tych dwóch anielskich istot, które go z otwartemi ramionami przyjęły, ani się przyśniło wskrzesić jakiem ostrem słowem dawno minioną bolesną przeszłość lub spytać go kiedy, co dalej robić zamierza?

Wrócił!.. To dla nich było wystarczającem!

I powrót ten jego uważały wprost za odebraną łaskę, i tylko mu w oczy patrzały, aby w nich życzenia jego wyczytać, według sił i możności im dogodzić!..

Wuj mienił się chorym. Czy nim był rzeczywiście, nie wiem, ale to wiem, że ta jego rzekoma choroba jedną więcej stała się przyczyną do usunięcia wszystkich i wszystkiego na plan drugi, do postawienia jego samego na plan pierwszy. Z rozkazu Buni, odstąpiłem mu więc mój pokój, a powróciłem znów do dawnej ciupki; wszystkie najwygodniejsze i najładniejsze meble, które dotąd bądź u Buni, bądź w salonie się znajdowały, zostały mu oddane do użytku; ciocia Kostusia co dzień głowę sobie łamała nad przyprawieniem mu jakichś pożywnych po-

traw lub wzmacniających napojów; słowem, myśli wszystkich, dążenia, czynności wkoło niego, jego wygody lub rozrywki krążyły. On, większą część dnia przesiadywał u siebie; resztę czasu spędzał na werendzie, po której się, z rękami w kieszeniach i wieczną cygaretą w ustach, swym kołyszącym krokiem zwykł był przechadzać. Do pokoju swego nikogo nie wpuszczał, prócz mnie, i to rzadko, a że go napełnił najdziwaczniejszemi egzotycznemi przedmiotami, których aż dwie skrzynie z Indyi za nim przybyły, a które go uczyniły podobnym do składu rupieci, przybytek ten zaciekawiał mnie i zajmował niezmiernie. Zresztą stosunek, jaki nas łączył, dziwny był: czułem do niego naprzemian pociąg i odrazę; chwilami wywierał na mnie rodzaj uroku; chwilami znów bezczynność jego, sposób przeciągły mówienia, ustawiczna w słowach ironia, wyłączne zajęcie się swoją osobą, niecierpliwiły mnie do żywego. Niektóre punkta w usposobieniu mieliśmy też i wspólne: i tak wuj, podobnie jak ja, milczący był z natury i, równie jak ja,

nieśmiały. Często bywało, kiedy mnie wpuścił do swego buen retiro, siedzieliśmy godzinami obok siebie w głębokiem milczeniu, ja, zajęty oglądaniem obcych broni, uprzęży, trofeów myśliwskich, minerałów — on, puszczaniem kłębów dymu z cygarety i swemi myślami; ale bywało niekiedy i inaczej. Czasem lada pytanie moje, lada pobieżna uwaga zdawała się budzić w nim od razu dawne wspomnienia. Zgasłe oczy jego ożywiały się, chmurne lica rozjaśniały, poczynał opowiadać swe różne przygody, a opowiadać tak, że słowo każde pożerałem, a serce mi jak młotem w piersi uderzało. Miał dar wymowy; dar, którym się ludzi podbija i porywa!

Wieść o jego powrocie rozniosła się szybko po mieście i musiała niemałe zaciekawienie wzbudzić, bo i pułkownik, teraz rzadki gość, niebawem nas odwiedził, i odwiedzili różni znajomi, z którymi bardzo dalekie i chłodne utrzymywaliśmy stosunki. Ciekawość ogólna nie została zaspokojona. Wuj obcych unikał. Za każdą wizytą zamy-

kał się pod pozorem niedomagania w swym pokoju i wcale się nie pokazywał. Dla pułkownika, profesora i jego żony zrobił tylko wyjątek; ale choć od nich nie stronił, jednak aż nadto widocznie zaznaczył, że obecność ich go krępuje i onieśmiela. Z pułkownikiem zaledwie parę słów obojętnych wymieniał; wobec pani Ali zachowywał się milcząco; jeden profesor w krótkim względnie czasie zdołał go ująć i rozruszać; za trzeciem już spotkaniem śmiał się z niego, żartował z jego łamanej polszczyzny, drwił z roztargnienia, a zwłaszcza z przymilań do żony. Rok z górą był upłynął od ich ślubu, a on, nieborak, zawsze równie zakochany, usiłował wszelkimi sposobami wzajemne uczucia w niej wzniecić. Miłość do niej walczyła z dawnymi nałogami, a nie zawsze zwycięsko. Tabaczka szczególnie stanowiła dla niego pokusę straszną; jeżeli zarzucił tabakierkę, to pokryjomu tutkę papierową nosił w zanadrzu, a gdy pani Ala w jego stronę nie patrzała, czerpał z niej i pochłaniał na zapas fenomenalne porcye.

Podpadło mi wówczas, że drwinki wuja, chociaż niezaprzeczenie dowcipne, nie zawsze połączone były z oględnością; często, budząc śmiech ogólny, profesora samego dotykać musiały wprost niemile; podpadło mi zarówno i to, że uwagi, którychby Bunia z niczyich ust nie była zniosła, gdy przez niego były czynione, nie wywoływały z jej strony żadnego wyrazu oburzenia. Jemu wszystko było wolno! Kochała go tak silnie, gorąco, namiętnie, że chyba podobnie żadna matka nie jest w stanie kochać dziecka, czynami swemi rzeczywiście na miłość zasługującego!

Bywało — przysuwała się do niego, bez pomocy laski, jak gdyby sercem wiedziona, kładła mu lekko swe przezroczyste dłonie na twarz, gładziła ją, i zwracając ku niemu wypłakane oczy, mówiła:

— Ja ciebie widzę!.. To dziwne!.. wkoło mnie noc. Świat cały dla mnie zniknął. Wszystko jest już tylko wspomnieniem lub wyobraźnią... ale ciebie ja widzę!.. Tyś się nic nie zmienił! Tyś zawsze ten sam... te twoje oczy niebieskie, kochane, patrzą na

mnie w tej chwili, z tym samym wyrazem, co dawniej... uśmiechasz się do mnie, jak dawniej... brodę nosisz dłuższą... nic więcej!.. A włosy? Włosy tak samo, jak dawniej, na czoło ci spadają... Ja ciebie widzę!..

I — jak gdyby na prawdę widziała, odgarniała mu z czoła jego gęste, niesforne kędziory, an on się do niej tulił, po rękach ją pieszczotliwie całował...

To jego do matki przywiązanie, ta tkliwość, którą jej okazywał, chwytały i mnie za serce: myślałem sobie: Przecie on dobry!.. I odraza moja ustępowała pociągowi.

Dziś, gdy tę chwiejność i zmienność moich względem niego uczuć wspominam, wydaje mi się, że ten pociąg, te sporadyczne moje porywy były raczej wynikiem, raczej rodzajem odbicia podziwu i uwielbienia Buni dla niego, niźli czemś wypływającem z mojej własnej inicyatywy.

Jej — biednej, nie było danem podziwiać go i uwielbiać długo; już w dwa miesiące po jego powrocie, stan jej wzniecił w nas obawy, które zdanie lekarza tylko potwier-

dziło; choroba nie trawiła jej żadna, ale organizm cały był wycieńczony długiemi latami cierpień i troski; obecnie siły jej z dniem każdym ubywały, nikły... gasła po prostu, i aż nadto jasnem nam było, że godziny jej były policzone... Jeżeliśmy wszyscy świadomi byli niebezpieczeństwa tego stanu, i Buni nie było ono tajne.

Czuła się blizką końca i bezmiernie, bezdennie żal jej było życia, żal każdej chwili, która ją zbliżała do owego wielkiego, ponownego rozstania z dopiero co odzyskanym jedynakiem...

Lato mijało.

Używaliśmy ostatnich dni skwarnych, ostatnich ślicznych wieczorów wrześniowych z jakiemś uczuciem, czy przeczuciem, że podobne chwile nie wrócą już nigdy...

Pani Ala, jak wpierw tak i teraz, odwiedzała nas często. I jej usposobienie zdawało się ulegać dziwnej zmianie; czasem — nieraz — bywała smutna i zamyślona; czasem znów miewała napady szalonej wesołości, w którychto napadach bardziej, niż kiedykolwiek,

znęcała się nade mną i nad moją nieśmiałością.

Razu pewnego — jak dziś pamiętam, przyszła do nas przed samym wieczorem i, usiadłszy na nizkim taborecie u stóp Buni, przysłuchywała się w milczeniu urywanej naszej rozmowie. Na dworze, dnia tego, drobny deszcz padał i wiatr, pierwszy zwiastun jesienny, żałośnie świstał.

Bunia rzekła:

— Co tobie jest, moje dziecko? Czy masz jakie zmartwienie?

— Nie, pani, — odrzekła, opierając głowę o kolana staruszki, nic mi nie jest, tylko mi tak jakoś smutno... tak okropnie smutno w duszy... Jak tak słucham tego wiatru, co swiszcze, tego deszczu, co dzwoni o szyby, mam uczucie, prawie złudzenie, że to ktoś tak żałośnie zawodzi... I ochota mnie bierze mu wtórować...

— To na to jest rada... idź, siądź do fortepianu i zagraj lub zanuć nam coś... odpowiedniego... I ciebie to ukoi, i nam sprawisz przyjemność.

Skoczyłem do fortepianu, chcąc świece zapalić, ale pani Ala rzekła:

— Daj pokój, Riri; będę grać na pamięć, a szara godzina, to ze wszystkich najmilsza. Chodź tu... blizko... Słuchaj...

I przechodząc koło mnie, przyciągnęła mnie ku sobie.

We mnie serce zabiło, stanąłem posłusznie przy niej.

Ona ręce na klawisze położyła i poczęła przygrywać...

— Co chcesz, abym śpiewała? — spytała po chwili.

— Liedchen — szepnąłem — to takie śliczne!..

— Podoba ci się Liedchen?

— Nad wszystko!

— Doprawdy? — Taki to z ciebie znawca? Taki lubownik muzyki!

A ja, ośmielony cichem pytaniem i ciemnością, panującą w pokoju, odrzekłem:

— Ja... o muzykę nie dbam... tylko tak lubię, tak lubię, jak pani śpiewa... o paziu...

Spojrzała na mnie i w zmroku błysły jej białe ząbki.

— Więc dobrze!.. Zaśpiewam ci o paziu... mój paziu!..

I zaczęła: Es war ein alter König...

Po pierwszej smutnej zwrotce, zabrzmiała w powietrzu druga, ta druga, w której drga jakby porywający odgłos tryumfu i siły:

„Es war ein schöner Page,
Blond war sein Haupt — leicht war sein Sinn.
Er trug die seidne Schleppe
Der jungen Königin!..

Słuchałem w upojeniu. Com ja wówczas myślał? Chyba to jedno, że mnie pani Ala swoim małym paziem zowie i że śpiewa, jak aniołowie w niebie śpiewają!

Jeszcze Liedchen nie była skończyła, kiedy jak cień wsunęła się do pokoju wysoka postać mego wuja. Milcząc, stanął na uboczu.

„Kennst du das alte Liedchen?
Es klingt so süss, es klingt so trüb!
Sie mussten Beide sterben,
Sie haten sich viel zu lieb...

Buni czujne ucho poznało krok syna od razu.

— I cóż ty, Zygmuncie, na ten głos? — spytała po skończonej piosnce.

Odrzekł z zapałem:

— W piekło by mnie zawiódł!

Pani Ala się roześmiała.

— Słyszysz, słyszysz, Ala, co on mówi? — rzekła Bunia. — Możesz być dumna, bo on się na tem rozumie! Dawniej nawet sam wcale ładnie grał i śpiewał... A teraz — dodała nieśmiało — czy już nigdy nie śpiewasz? całkiem zapomniałeś?

— Całkiem.

— Ale wuj musi grywać na gitarze, — wtrąciłem, — bo przecie aż dwie ma w swoim pokoju.

Wuj chwycił mnie za ucho:

— Cicho! smarkaczu! Będziesz ty rozpowiadał, co ja mam w swoim pokoju! Już cię nigdy do niego nie wpuszczę!

Lecz tu pani Ala złożyła ręce i poczęła mówić:

— Gitary! Pan ma gitary? O proszę, proszę nam co na gitarze zagrać!

I prosiła tak ładnie, a tak uporczywie zarazem, że wuj wreszcie prośbie jej uległ i posłał mię po ów instrument, przeze mnie gi-

tarą nazwany, a który, jak nam wytłómaczył, był prostem, murzyńskiem »banjo«. Podczas, kiedy o struny przedwstępnie potrącał, służąca wniosła lampy. Wtedy wstał, o ścianę się oparł i zaczął śpiewać. Głos miał silny i dźwięczny, piosnka meksykańska, której nikt z nas oczywiście nie znał i nie rozumiał, robiła wrażenie jakieś dzikie i przejmujące; patrząc na niego, na jego wyniosłą postać, twarz chmurną i piękną, słuchając tej dziwnej melodyi, mimowoli pomyślałem, że w tej chwili, w tem oświetleniu, z tem swojem banjem w ręku, tworzy on obrazek oryginalny i nie pozbawiony wdzięku.

Pani Ala musiała to samo odczuwać wrażenie, bo wzrok w niego utkwiła i zdawała się zarówno uszyma, jak oczyma słuchać...

Piosnka była długa. Po każdej zwrotce powtarzała się ta sama przygrywka i te same jej towarzyszyły słowa, a on wtedy ku pani Ali się zwracał i składał jej z uśmiechem nizkie ukłony.

Kiedy skończył, ona z niekłamanym zachwytem w ręce klasnęła:

— Ależ to śliczne jest, śliczne! I pan śpiewa doskonale! O ja muszę się nauczyć grać na banjo! Pan mnie nauczy? Prawda?.. A co znaczą słowa?

— A! nie powiem!.. To tajemnica!.. W tem właśnie urok! Mnie wolno mówić... Pani wolno się domyślać...

I powtórzył ostatnią zwrotkę, znów nizko przed nią głowę chyląc...

Od owego wieczoru improwizowane te koncerta weszły w stały zwyczaj. Banjo nie powróciło więcej do pokoju wuja Zygmunta, ale pozostało w salonie i za każdą wizytą pani Ala — a wizyty te stawały się coraz częstsze, — z największym zapałem uczyła się od niego gry nowej i pieśni meksykańskich; całemi godzinami oddawali się oboje muzyce; śpiewali sola, duety, z udziałem profesora, nawet chóry; profesor przyniósł skrzypce, rozkoszował się postępami swej żony; Bunia brawo biła, ciocia Kostusia równie żywo zdawała się cieszyć powrotem do zdrowia brata; mnie tylko jednemu jakoś nieswojo było; czułem się opuszczony, zaniedbany, może dlatego

jeno, że pani Ala tak pilną była uczennicą, że już nigdy dla swego pazia o paziu nie śpiewała.

Zabawy te przerwane zostały nagle śmiercią Buni. Byliśmy na cios ten poniekąd przygotowani, a jednak uderzył w nas, jak grom. Uczuła się pewnego ranka słabszą, niż zwykle, więc łóżka nie opuściła; nazajutrz sama zażądała księdza, a dnia trzeciego, bez cierpień, niemal bez konania, z pełną przytomnością rozstała się z nami na wieki...

Przed śmiercią żegnała każdego z nas osobno, dla każdego miała słowo napomnienia i błogosławieństwa, ale co mnie uderzyło, to jej widoczne ciągłe i wyłączne zajęcie się wujem Zygmuntem. I ze mną także długo rozmawiała, prawda! I cioci Kostusi kilkakrotnie dziękowała za jej opiekę, miłość, za jej tyloletnie poświęcenie, ale myśl o wuju wciąż inne tłumiła...

— Czuwaj nad nim! — powtarzała ciotce głosem błagalnym, — kochaj go! zastąp mnie przy nim! Osłodź mu życie... Zaklinam cię!..

Do niego, mimo woli, zwracały się do ostatniej chwili jej biedne wypłakane oczy, jego

ręki szukała jej stygnąca ręka, a ostatniem słowem, które jej sine usta zrozumiale wymówiły, było to miano, w które kładła całą swoją bezgraniczną do niego miłość: O mój jedyny!..

On — ten jedyny — zalewał się u łoża jej śmiertelnego łzami gorącemi, łkał, szlochał, rozpaczał, że aż litość brała... boć i on, na swój sposób, kochał matkę, a chyba musiał wtedy czuć, sam przed sobą wyznawać, że chociaż był jej miłością, nie był nigdy ni pociechą, ni podporą... Bóg tam zresztą wie, jaką w żalu jego grało rolę rzeczywiste uczucie, a jaką nerwy. W każdym razie wydawał się boleścią tak złamany moralnie i fizycznie, że po pogrzebie drogiej naszej Buni, cała pieczołowitość, troskliwość cioci Kostusi ku niemu się zwróciła. I ona pewno, równie, jak on, a może i więcej, cierpiała, ale swoim zwyczajem własne cierpienie przezwyciężała, aby tylko cudze osładzać i koić...

Dom nasz stał się wówczas ogromnie cichym i pustym. Nie rozlegał się w nim już ni śmiech, ni śpiew, ni dźwięk banja. Wuj,

na zimno bardzo czuły, spędzał dnie całe w swoim pokoju, w którym panowała tropikalna temperatura; ciotka gospodarowała po dawnemu, rzadko kiedy w pracy ustając, by się smutnym myślom poddać; ja uczyłem się pilnie i z dziecka z każdym dniem wyrastałem. Śmierć Buni nie tylko nas samych, ale i profesora głęboko dotknęła; w nieszczęściu naszem okazał nam wiele serca; później zaś, po dawnemu nas poczciwie odwiedzał, lub w zastępstwie przysyłał żonę. Pani Ala jedna posiadała dar rozerwania wuja; dla niej jednej opuszczał on swoje buen retiro, schodził do salonu, i paląc cygaretę po cygarecie, kiedy niekiedy raczył brać udział w rozmowie. Zato po jej odejściu i jego względne ożywienie nikło; wpadał w zadumę, z której go żadne wysilenia cioci Kostusi otrząsnąć nie były w stanie; chmurna twarz jego przybierała swój zwykły wyraz znudzenia.

Ciotka czasem próbowała w nim obudzić chęć do jakiego zajęcia; znosiła mu książki, papier, pióra, nieśmiało prosiła o radę co do gospodarstwa, pomoc w rachunkach.

Jego odpowiedź brzmiała zawsze jednakowo:

— Daj mi pokój; chory jestem...

A ta jego bezczynność, ten smutek, czy znudzenie, bądź co bądź, odbijały się i na nas, gniotły nas swoim ciężarem, zdawały się wpływ swój wywierać nawet na panią Alę. Przez całą tę zimę i ona była, może niekoniecznie smutna, ale jakaś zamyślona, jakby wyłącznie jedną myślą zajęta — w niej zatopiona.

Lecz z tem zamyśleniem, z tą sennością w swych ciemnych, wpół zmrużonych oczach, było jej bardzo do twarzy. Czar, który na mnie wywierała, stawał się coraz potężniejszym. Jeżeli jeszcze nie była wybiła godzina, w której miałem sobie otwarcie wyznać: „Kocham!“ — to nadeszła już ta, w której w głębi serca powtarzałem: „Jabym dla niej życie chciał oddać!..“

Zaznaczyłem na początku tych wspomnień, że kobiecy wpływ, któremu od dzieciństwa podlegałem, kobiecy kierunek mego wychowania, wycisnął na mnie swe piętno.

Przejąłem się zawczasu głęboką wiarą mego dziadostwa; nauki cioci Kostusi, napomnienia Buni, ostatnia wreszcie rozmowa z dziadem, jego prośba: „Bądź zawsze uczciwym człowiekiem,“ wyryły się w mojem sercu. Byłem „uczciwym“ w całem słowa znaczeniu; unikałem złych kolegów, usiłowałem we wszystkiem postępować tak, aby mieć czyste sumienie, brzydziłem się kłamstwem, obłudą, każdym czynem podłym.

Wobec takich zasad, siła owego czaru, który mną owładnął, dziwiła mnie czasami samego — dziwiła i przerażała.

Pamiętną mi jest po dziś dzień przechadzka, którą raz, jeszcze za życia Buni, w towarzystwie pani Ali zrobiłem w ogrodzie. Zbliżyliśmy się przypadkiem do muru, graniczącego z ogrodem sąsiednim, a przez którego wyłom widać było drzewo brzoskwiniowe, pokryte owocem.

Pani Ala stanęła:

— Patrz! Patrz, co za śliczne brzoskwinie! Jaka ich masa! Jakie dojrzałe!..

Mnie nagle ogarnął niepokój.

— Śliczne!.. powtórzyłem — chodźmy stąd!

Ona na mnie spojrzała ze zdumieniem:

— Chcesz uciec? Boisz się pokusy?

— O, nie! Nie pokusy!.. Ale...

— Ale czego? Powiedz, Riri... jestem ciekawa...

— Ale rozkazu...

— Mojego?

— Tak jest...

Poczęła się śmiać swoim cichym, tajemniczym śmiechem.

— Jakto? Więc gdybym ci tak kazała te brzoskwinic urwać — powiedzmy wprost: ukraść, to cobyś ty zrobił?

Zmieszałem się okropnie.

— Ja nie wiem... nie wiem... ach! niech mi pani nie każe!.. Chodźmy stąd!..

Wiedziałem ja, chociaż wyznać nie śmiałem, cobym był w danym razie uczynił!.. I ona także domyślić się musiała.

Podczas owej pierwszej zimy po śmierci Buni, zrodził się we mnie nowy, urojony powód zgryzoty, nowy chorobliwy niepokój. Wyobraziłem sobie, że moja nieśmiałość czy-

nić mnie musi nudnym, śmiesznym, nawet wstrętnym; że pani Ala mniej chętnie, niż dawniej, skutkiem tego ze mną przebywa, mniej rozmawia, że mnie unika i lekceważy. Zapragnąłem gorąco napowrót odzyskać jej rzekomo utracone względy; robiłem różne plany, przemyśliwałem, jakby jej się przypodobać, jakim czynem bohaterskim zwrócić na siebie jej uwagę, jaką trafną odpowiedzią podbić ją i zająć... Układałem w myśli całe rozmowy, w których dowcipem moim miałem ją olśnić; schodziłem nieraz na jej powitanie z silnym zamiarem okazania jej, że już nie jestem dzieckiem, ale „dorastającym“ chłopcem, zdolnym ją, zarówno jak wuj Zygmunt, zabawić. — Niestety! plany moje, przedsięwzięcia, zamiary, pełzły na niczem. Sposobność umieszczenia moich naprzód mozolnie ułożonych zdań przychodziła i mijała, a mnie zdania w gardle więzły, obecność pani Ali przytomność mi odbierała.

Nieraz myślałem, że gdybym ją widział sam na sam, gdzie daleko od wuja, odwaga i przytomność by mi powróciły. Aby więc

dopiąć upragnionego celu, używałem najprzeróżniejszych podstępów. I tak np., raz, kiedy profesor był jakąś piosnkę do nas przyniósł, schowałem nuty umyślnie, aby je módz nazajutrz osobiście odnieść do jego mieszkania.

Zastałem panią Alę samą. ‚Już mię na progu porwał żal i rodzaj wstydu za mój uczynek, więc, oddawszy jej pospiesznie nuty i zaledwie z nią kilka słów wymieniwszy, uciec, według zwyczaju, chciałem. Ona mnie jednak zatrzymała:

— A gdzieś ty tę naszą zgubę znalazł? — spytała. — Gdzie te nuty były, żeśmy ich wczoraj tak długo napróżno szukali?

Nie spodziewałem się pytania, a nie umiejąc kłamać, spuściłem głowę, jak winowajca.

Ona mnie z uśmiechem poczęła lekko po twarzy uderzać...

— Oj, dzieciaku! ty, dzieciaku!..

Coś mię ubodło w jej głosie i słowach.

— Ja już nie jestem dzieciak — odrzekłem, podnosząc ku niej oczy — ja... ja bardzo...

Urwałem, bo nagle tchu mi zabrakło, uczułem chęć do płaczu.

A ona dalej patrzała na mnie swemi ciemnemi, wpół zmrużonemi oczyma, w których rozbawienie przebijało, jak gdyby w mojem wejrzeniu usiłowała czytać...

— Ja wiem, rzekła wkońcu — ja wszystko wiem, Riri... Wiem i to, że na ciebie liczyć mogę... wszak mogę? Nie prawda?

— Zawsze i we wszystkiem! — zawołałem z ogniem i odtąd owo „zawsze i we wszystkiem“ codzień sobie powtarzałem niezliczone razy, jakby rotę jakiej przysięgi.

Miałem jej niebawem, z własnej duszy szkodą, złożyć dowody uległości.

Nadeszła wiosna.

W tym czasie zdechła stara Siwka, owa odwieczna nasza klacz, którą jeszcze dziadostwo do Stanisławowa na mszę jeździli, a która teraz służyła do wożenia warzyw z ogrodu na targ i przywożenia drobnych sprawunków z miasta. Ciotka postanowiła kupić na jej miejsce konia. Udała się więc do znanego sobie faktora, Icka, z polece-

niem, aby jej wyszukał coś odpowiedniego Wymagania jej były niezwykłe i z pewnością żyda zdziwić musiały: pragnęła konia taniego, starego i nadewszystko, spokojnego; mógł nie być piękny, mógł być nawet jednooki, byleby koniecznie był stary i spokojny. Zaraz nazajutrz przyprowadził nam Icek dwie szkapy, jak twierdził wuj, z rzezalni miejscowej, do wyboru. Obie się na nogach chwiały i obie ciotce do gustu zarówno przypadły. Nie wiem, na którą z nich byłby wreszcie padł jej wybór, gdyby nie wuj, który, je obejrzawszy, ku wielkiemu jej zmartwieniu, bez wahania odesłał. W kilka dni później właśnie profesor z żoną u nas się znajdował, kiedy nam doniesiono o przybyciu Icka z nowym towarem.

Całe więc towarzystwo wyszło na werendę, aby mu się przyjrzeć i swoje zdanie wypowiedzieć.

Tym razem przyprowadzony koń był wysoki, kościsty i tak chudy, że wszystkie żebra mu przez skórę widniały. Stał ze spuszczonym łbem, trochę zgiętemi przedniemi

nogami i z wielce niepokaźną miną; nawet kiedy Icek począł go kłusem wkoło trawnika przeganiać, klaszcząc językiem i machając szpicrutą, fantazyi mu nie przybyło.

Wuj zeszedł ze schodów, przypatrzył się koniowi okiem znawcy na wszystkie strony, zajrzał mu w zęby, a wreszcie poklepał i rzekł:

— To szkapsko ma około trzydziestu lat — niezawodnie — ale dużo krwi.

Ciotka spojrzała na brata z niedowierzaniem:

— Żartujesz?

– Nie żartuję — odrzekł — ja wam pokażę, co krew znaczy...

Wprost z ziemi, bez najmniejszego wysilenia, skoczył na grzbiet konia, chwycił za tręzlę i ścisnął go kolanami. Szlachetny zwierz, w chwili, gdy poczuł na sobie wprawnego jeźdźca, odrazu dał olbrzymiego szczupaka, zmienił się w mgnieniu oka do niepoznania, kark załamał, ogon odsadził, nozdrza rozdął i począł parskać z radości.

A wuj, jakby do grzbietu jego przykuty, objeżdżał ogród dokoła, to stępą, to kłusem, to wreszcie wyciągniętym galopem. I on zmienił się do niepoznania. Gwałtowny ruch wywołał rumieńce na blade jego oblicze, wiatr rozwiał mu brodę, zgasłe oczy się ożywiły...

Patrzyliśmy wszyscy w podziwieniu, a on, raz po raz po przed ganek przejeżdżając, śmiał się w głos...

— Ja dziko jeżdżę!.. Nie prawda?.. Ot! patrzcie!..

I od razu, w pełnym galopie, spuścił się tak nagłym obrotem w bok, że tylko jedną nogą zawisł na koniu, a ciało jego z oczu naszych znikło zupełnie. Pani Ala krzyknęła, ciotka zbladła, profesor aż się za głowę chwycił, ale on się znów wyprostował, wołając:

— Tak się Indyanie za grzbiet koni przed nieprzyjacielem chowają!.. Potem do mnie: Henryku! Lasso! Dawaj, a prędko!..

Skoczyłem po lasso, które wisiało w jego pokoju, i co tchu powróciłem; a on je z rąk

moich porwał w lot, poczem tręzlę całkiem wypuścił i tylko kolanami wierzchowca swego kierując, począł nam pokazywać, jak się na lasso dzikie konie chwyta; wkońcu, zarzucił je na Icka, pociągnął z nienacka ruchem tak gwałtownym, że się żyd aż na ziemię powalił, a wtedy dopiero spienione szkapsko na miejscu osadził i lekko z niego zeskoczył.

— A! niema, niema, jak czuć pod sobą dobrego konia, a wkoło siebie — tu poprowadził okiem, pełnem tęsknoty po ogrodzie — przestwór! szeroki, nieskończony przestwór!..

Westchnął — pochylił głowę i, nie słuchając nawet pochwał profesora, swym wolnym, kołyszącym krokiem wszedł napowrót do salonu; ciocia Kostusia tymczasem dobiła targu z Ickiem i stary „Hassan“ dnia tego jeszcze przeszedł na jej własność.

Jeżli powyższą scenę opowiedziałem, to dlatego, że na mnie — i nie tylko na mnie — wielkie wywarła wrażenie, przemówiła mi do nerwów i wyobraźni, a postać wuja znów w oczach moich urosła i nowym przyoblekła się urokiem; całą noc następną śniło mi się,

że razem z nim uganiałem po szerokich, nieskończonych preryach, to dzikie konie na lasso chwytając, to z Indyanami krwawe staczając boje, w celu odbicia uprowadzonej przez nich pani Ali.

Nazajutz, kiedy wróciłcm ze szkoły, zastałem ją już u nas, co mnie zdziwiło, bo rzadko kiedy tak wcześnie nas odwiedzała. Ujrzałem ją od furtki, — stała na werendzie, w towarzystwie wuja Zygmunta, który do niej z wielką, niezwykłą sobie żywością przemawiał.

Tegoż samego dnia, nieco później, kiedy wuj się, według zwyczaju, do swego pokoju na wypoczynek (!) udał, a ciotkę jakieś czynności gospodarskie do kuchni zawezwały, znalazłem się przez chwilę sam na sam w salonie z panią Alą. Siedziałem na nizkim taburecie przed kominem. Nagle, jakby obecności mojej wcale nie świadoma, wsparła ręce na kolanach, a głowę na rękach i poczęła płakać...

Na ten widok zmieszałem się ogromnie, nie wiedząc, co mi czynić wypada: czy

wprost ją zapytać o przyczynę smutku, czy też pokój opuścić. Wreszcie przezwyciężyłem nieśmiałość.

— Pani Alo — spytałem cicho, do niej przystępując, — co pani jest?

Zrazu nie odpowiedziała nic, tylko coraz silniej, gwałtowniej zanosiła się od płaczu. Wylękły, chciałem pójść ciocię Kostusię zawołać, ale ręką dała mi znak, abym się nie oddalał. Po długiej chwili dopiero łkania jej ucichły, przemogła się, uspokoiła i oczy otarła.

— Lepiej mi — rzekła nareszcie — lżej mi teraz na sercu... Nie dziw się, Riri... każdy ma swoje zmartwienia... a moje jest ciężkie, oj! ciężkie...

Jakiś hałas doleciał nas z przyległego pokoju, więc dodała pospiesznie:

— Tylko pamiętaj... nie mów nikomu o tych głupich łzach moich... Nie powiesz? Pewno?

— Nie — odrzekłem — nikomu, nigdy...

I byłbym się raczej dał w kawałki porąbać, niźli złamał daną obietnicę.

Że byłem pod jej czarem, że mnie w swych więzach trzymała, poczynałem się już wówczas i coraz częściej przeświadczać... Przeświadczyłem się aż nadto jasno niebawem — owego dnia przeklętego -- kiedy, wchodząc znienacka do altany ogrodowej, zastałem ją — panią Alę — w objęciach wuja Zygmunta!... O, Boże mój! Com ja wtedy uczuł? Com pomyślał?..

Miałem blizko lat czternaście. Wiele rzeczy złych obiło się już było o moje uszy; wiedziałem, że wiarołomstwo na świecie istnieje: a jednak zło, grzech, brud, w połączeniu z panią Alą, to wydało mi się czemś tak niesłychanem, tak wprost niemożliwem, potwornem, że samą myśl, samo podejrzenie odepchnąłem z odrazą... Jeśli wuj ją w swych ramionach trzymał, jeśli okrywał pocałunkami jej oczy cudne, lica, usta, to bez jej woli! To przemocą!.. On ją może kusił, namawiał do złego, ale ona mu nie uległa! Nie ulegnie!..

I powtarzałem w głos to: Nie ulegnie! chcąc sam siebie przekonać... A gdy mnie

nagle ciocia Kostusia napadła z zapytaniem, skąd wracam i czy gdzie wuja nie widziałem, — ja, który dotąd nigdy warg kłamstwem nie skaziłem, skłamałem bez wahania, jedynie, aby ją zasłonić.

— Nie... Wuja nie widziałem; byłem w ogrodzie, ale w ogrodzie nie spotkałem nikogo...

Wróciwszy do domu, uciekłem do swego pokoju z jakiemś wrażeniem okropnem, że zawisło nad nami wielkie nieszczęście, że ja jeden o niem wiem, że przed niem przestrzedzbym powinien, lecz nie mogę! nie mogę!..

Wieczorem, kiedy pani Ala oko w oko na mnie spojrzała, musiała z pewnością świadomość moją w niem wyczytać; odwróciłem bowiem głowę z takiem poczuciem wstydu, z a n i ą, jakbym ja był winowajcą. Tej nocy snu nie wiele zaznałem. Gorączka mnie trawiła, gorączka, śród której, jak na jawie, powtarzałem: Nie ulegnie! a zarazem czułem, że pani Ala już dawną panią Alą być przestała...

Dnia następnego wstałem z ciężką głową i cięższem jeszcze sercem; poszedłem do szkoły, nie widziawszy się z wujem; kiedy z niej w południe wychodziłem, spotkałem na ulicy panią Alę, która się na mnie czekać zdawała.

— Wstąp do nas na chwilę, Henryku — rzekła — mam z tobą do pomówienia.

Poszedłem za nią powolnie.

Zaprowadziła mię wprost do swego saloniku, napełnionego, jak zwykle, kwiatami i tysiącem ładnych drobnostek, kazała mi usiąść na kozetce, tuż tuż przy sobie, i poczęła mówić zniżonym głosem:

— Tyś wczoraj wszedł do altany ogrodowej?

Skłoniłem głowę, gorącym oblewając się rumieńcem.

— Nie powiedziałeś nikomu, coś widział?

Podniosłem oczy ku niej w niemem oburzeniu; mówić nie byłem w stanie.

— I nie powiesz? — dodała — kładąc rękę na mojej głowie.

Dałem znak, że nie.

A ona ciągnęła dalej, pochylając się coraz bliżej ku mnie:

— Ja tobie wierzę... ja ci ufam... Ja wiem, że tybyś mi z umysłu nie chciał zaszkodzić — nie prawda? — Tyś jeszcze mały, wiele rzeczy nie rozumiesz, ale kiedyś, kiedyś zrozumiesz i wybaczysz... Teraz mię nie sądź... nie potępiaj... Żałuj raczej! bo jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa!..

Umilkła; łzy błysły w jej ciemnych, w pół zmrużonych oczach, a ja, który przez cały przebieg tej rozmowy, jak na żarzących węglach siedziałem, powstałem teraz w nadziei, że mi wolno będzie odejść.

Lecz ona mi rękę w swej dłoni uwięziła.

— Chcesz mi dać dowód przywiązania?.. Pierwszy, którego żądam... oddaj ten list...

— Nie! nie! nie! — zawołałem porywczo, odpychając list i rękę, — niech pani tego ode mnie nie żąda! Nie oddam!.. Nie mogę!..

Sumienie wołało, że taki czyn, taka przysługa, byłaby rodzajem grzechu, upokorzenia, jakby współudziałem w ich winie...

Ale ona tylko swe oczy wpoiła w moje i jęła mnie raz po raz gładzić po rozpalonej twarzy...

— Oddasz... — rzekła — oddasz!.. bo ty jesteś dobry... bo ja cię o to proszę... a ja ciebie kocham... Riri...

Chwilę jeszcze — sekundę — usiłowałem oprzeć się pokusie, ale napróżno! Czego wzrok nie dokonał, dokonały słowa i pieszczota...

Chwyciłem list i pędem ku domowi poleciałem!..

Każdy dobrowolny upadek pociąga niechybnie za sobą cały ich szereg; to jest dawno stwierdzonym faktem.

I ja, uległszy raz pokusie, miałem jej dalej ulegać.

Od owej rozmowy z panią Alą, stałem się jej niemal codziennym posłańcem! Codzień, mówiłem sobie: Ostatni raz! I codzień czar jej działał, truł mi sumienie — łamał wolę...

Że to, co robiłem, było złe, nieuczciwe, aż nadto dobrze wiedziałem; wiedziałem i to,

że pani Ala grzesznie postępuje, pisując potajemnie do wuja Zygmunta, że przez to dopuszcza się winy względem swego męża, owego poczciwego, przeze mnie tak kochanego profesora, który od rana do nocy za lekcyami się ugania, aby jej tylko módz osłodzić życie; słowa dziadka: „Bądź zawsze uczciwym człowiekiem“ — brzmiały mi w uszach bez przerwy — powtarzałem je sobie sto razy na dzień i dodawałem w duszy: Od jutra się poprawię, od jutra wypowiem posłuszeństwo; tymczasem płynęły dnie, tygodnie, a ja dalej w oczy pani Ali patrzałem, na każde jej skinienie uległy.

A jednak — rzecz dziwna! — nawet grzech ma swój wstyd, ma swoje jakieś fałszywe wykręty, swoje zboczone pojęcie honoru! I tak, zanosząc listy pani Ali wujowi, nigdy żadnego od niego do niej nie przyjąłem! Próżno groził i prosił! W mojem rozumowaniu, co czyniłem, to czyniłem dla niej, z jej woli i rozkazu — byłem jej posłańcem, jej sługą, jej paziem, ale nie jego! Jego nienawidziłem teraz otwarcie z całych

sił i z każdym dniem więcej. Starania, któremi go otaczała ciocia Kostusia, oburzały mnie do żywego; nieraz walczyć z sobą musiałem, aby ukryć przed nią odrazę, którą we mnie budził; — że odrazę tę rodziła głównie zazdrość, to mi nawet przez głowę nie przeszło!

Chociaż żywot w dworku naszym wiedliśmy bardzo odosobniony, to pogłoski o tem, co się u nas działo, musiały już jednak do wiadomości bliźnich naszych i sąsiadów docierać; wywnioskowałem to z faktu, że pułkownik znów częściej się u nas pojawiał i przycinków swoich nie szczędził. Dla cioci Kostusi, która się niczego nie domyślała, były one zupełnie niezrozumiałemi; za to wuj zieleniał często ze złości. I mnie także napełniały wstrętem i wstydem, zwłaszcza, kiedy grając z profesorem w pikietę i niemiłosiernie go ogrywając, przyjaciel domu winszował mu nieszczęścia jego w karty.

— Wszystkiemu pani Ala winna, — zwykł był mawiać ze swym drwiącym złośliwym uśmiechem — ale dalibóg, profe-

sorze, trudno cię żałować... masz, czegoś sam chciał...

A poczciwe profesorzysko z rozkoszą i uwielbieniem na żonę spoglądał, ukradkiem ze swej papierowej tutki czerpiąc tabakę...

Jak się to wszystko skończy? I kiedy? myślałem nieraz i pytałem sam siebie, różne przypuszczenia w myśli czyniąc; nie przewidywałem jednak końca, który już był bardzo blizki...

W środku lata owe wieczne niedomaganie wuja odrazu się wzmogło; — ogłosił się za chorego; przez trzy dni pokoju nie opuścił, najżywszą troską przejmując ciotkę; która napróżno pod drzwi jego zachodziła z propozycyami różnych leków i doktora. Odmawiał wszystkiego, żądając tylko spokoju.

Trzeciego dnia wpadła do nas wieczorem pani Ala, zabawiła niedługo i wydała mi się jakaś rozgorączkowana. Odchodząc, pożegnała się z ciocią Kostusią bardzo czule, do mnie zaś rzekła:

— Noc taka pogodna... chodź ze mną... odprowadzisz mnie do furtki...

Myślałem, że ma mi list do oddania.

Ale nie — nie oddała mi nic, tylko się przy furtce zatrzymała i poczęła rozglądać w koło siebie. A ogród, dworek cały, werenda, skąpane w świetle księżycowem, tajemniczo i zarazem ślicznie wyglądały.

Potem rękę mi na głowie położyła i miękkim, jakby rozrzewnionym głosem szepnęła:

— Bądź zdrów, Riri, byłeś mi wiernym paziem... bądź zdrów... Kochasz mnie?

Czym ja ją kochał!... Na to pytanie serce wezbrało mi nadmiarem uczucia; słów wydobyć nie byłem zdolny; więc chwyciwszy tylko jej rękę, namiętnie ją do ust przycisnąłem, a chociaż usta milczały, wszystko we mnie wołało: Kocham! Kocham! Kocham!..

— Zrobiłam ci wiele złego — mówiła dalej — tego złego żałuję...

— Mnie? — spytałem — w czem i kiedy, pani?

Zamyśliła się, nie odpowiadając wprost.

— Czas iść — rzekła wreszcie. — Nie wspominaj mnie nigdy z gniewem i pogardą... bądź zdrów!.. Bóg z tobą, Riri...

Zdziwiły mnie jej uroczyste słowa pożegnania, ale zanim zdołałem myśli zebrać, postawić jej jakie pytanie, uczułem na czole mojem pocałunek — pierwszy — jedyny — i pani Ala w nocnych cieniach znikła...

Nazajutrz rano służąca zastała pokój wuja Zygmunta próżny, a zdyszany, spocony, przerażony profesor przyleciał około godz. 9-ej oznajmić nam o ucieczce żony; parę słów z dworca kolei, nakreślonych przez wuja do cioci Kostusi, donosiło jej krótko i zwięźle, że wyjeżdża z panią Alą w świat szukać szczęścia dla niej i dla siebie...

Uderzył grom! — burza przeszła.

A my, rozbitki, żyliśmy dalej — po dawnemu...

I po co, na co mówić o odniesionem z burzy wrażeniu! Silić się na określenie boleści i wstydu? Dość było spojrzeć na profesora i ciocię Kustusię, aby się serce z litości krajało. Jego zwłaszcza cios ten moralnie z nóg zwalił i biedak nigdy się odtąd nie podniósł. Żył, lekcye dawał, odwiedzał nas, rozprawiał o tem i owem, lecz czuć było, że myśl

jego wiecznie w jedną i tę samą zwrócona stronę... Z początku zwierzał się ciotce, wylewał przed nią swój ból, swą bezmierną rozpacz, — pytał z rodzajem dziecinnej bezradności w wejrzeniu:

— Co jej była u mnie za krzywda? Czego jej brakowało? W czem ja zawiniłem? Czemu się do mnie przywiązać nie mogła?..

Później — przestał o niej mówić.

Dla mnie, przez długie lata, piekącym wyrzutem sumienia pozostała myśl, że do tego jego nieszczęścia, do tego upadku pani Ali, i ja się pośrednio przyczyniłem...

Ona, żegnając mnie, powiedziała: Wiele ci złego zrobiłam...

Pojąłem niebawem znaczenie tych słów... Tak jest! Wiele mi złego zrobiła, brudząc mi, pierwsza, duszę, napełniając ją później nienawiścią, goryczą, żalem do życia, przedwczesną świadomością, że cnota w świecie nie popłaca i że hultaje w nim górą!.. Com ja się przez nią nacierpiał!

Ciocię Kostusię postępek wuja bolał podwójnie, bo jako nowy czyn haniebny, któ-

rym nazwisko dziada splamił, — powtóre, jako przykład dla mnie. Pod tym ostatnim względem usiłowałem ją zaspokoić. Przysiągłem jej i sobie, że z mojej przyczyny nigdy łza z jej drogich oczu nie padnie, przysiągłem, że wszelkiej pracy, wszelkich usiłowań dołożę, aby jej, choć w setnej części, bóle, ofiary, zawody całego życia wynagrodzić, pozostać zawsze, według życzenia dziada, „uczciwym człowiekiem...“

Dotrzymałem słowa.

Czas mijał. Ukończyłem szkoły, — począłem we Lwowie na kursa medycyny uczęszczać. Przez cztery pierwsze lata dochodziły mię dosyć często wieści o wuju Zygmuncie i pani Ali, gazety bowiem rozpisywały się długo i szeroko o szalonych powodzeniach, jakie w Ameryce jej koncerta odnosiły. Po upływie tego czasu, nastało milczenie.

Czy ciotce cokolwiek o losach ich było wiadomem, nie wiem; w domu naszym nie wspominano o nich nigdy, a jednak, kiedy do Stanisławowa na krótkie wakacye zje-

żdżałem, kiedy wraz z ciotką i profesorem zasiadałem, po dawnemu, na werendzie, ileżto razy rozmowa nasza nagle się urywała, a myśli wszystkich trojga leciały w świat — za nimi!..

Co do mnie — myślałem o niej, jak o osobie umarłej...

I oto teraz — przed miesiącem — powołany zostałem śród kursów do łoża tej mojej drugiej matki, tej ukochanej cioci Kostusi... Długa choroba zakończyła się wreszcie śmiercią...

Ona, od początku, podobnie, jak Bunia, świadomą była swego stanu; jak Bunia, żegnała mnie z pełną przytomnością, ale ostatnią jej przestrogą była przestroga przed wujem.

— Unikaj go! — mawiała i nalegała. — Strzeż się jego skruchy i jego wpływu!.. Gdyby pomocy pieniężnej kiedy żądał, nie odmawiaj mu jej, ale stroń od niego! do domu swego go nie wpuszczaj!..

A ja odpowiadałem: Nigdy!.. obiecuję!..

Wtem — o ironio losu! — W trzy dni po śmierci ciotki przyszedł do niej list od wuja!.. Ja go przeczytałem.

Donosił o swojem zrujnowanem zdrowiu, o swojej nędzy, spowodowanej utratą głosu pani Ali, o różnych kolejach, przez które w ciągu tych sześciu lat przechodził, wreszcie zawiadamiał ją o swym powrocie do kraju, prosił o przytułek i kończył owemi tajemniczemi słowami:

„Kiedy człowiek raz sobie łańcuch do nogi przykuje, dźwigać go, chcąc nie chcąc, musi do końca dni swoich...“

Od chwili przyjścia tego listu w istnej gorączce, w istnym szale żyję...

Wraca!.. Wuj wraca!.. czy sam?..

Ode mnie zależy go przyjąć, udzielić mu żądanego przytułku.

Pisze o łańcuchu... — Co przez ten wyraz chciał powiedzieć? Czyż łańcuch to — Ala? Jeśli tak, to ją kochać przestał... Jak ona cierpieć musi!..

Obiecałem ciotce w godzinę śmierci stronić od niego, unikać go...

Prawda! — Lecz gdybym się tak raz — raz jeden — wyjątkowo, z nim spotkał — ujrzałbym i ją!.. Nareszcie! Nareszcie! Po tylu latach tęsknoty, ujrzałbym tę jej postać ubóstwioną i te jej ciemne, wpół zmrużone oczy, i jej uśmiech słodki, usłyszałbym jej głos:

— Riri... czy ty mnie kochasz?..

— O, Boże mój! I to odemnie zależy! To w mojej jest mocy!..

...Ale z drugiej strony — ja wiem, że gdy ją ujrzę, czarowi ulegnę... a ja nie chcę uledz! Nie chcę!.. W oddaleniu mój ratunek!.. Wszak dziad mi tak gorąco zalecił: „Bądź zawsze uczciwym człowiekiem...“

W „ŚWIECIE“

SZKIC Z NATURY*)

*) Wszystkie szczegóły niniejszego opowiadania są autentyczne.

Spotkałam dziś na dworcu chmarę całą wyrobników i wyrobnic z naszej wioski, jadących na robotę, jak tu pospolicie mówią, w „świat“; było ich siedmdziesięcioro, a może i więcej. — Jedni, chłopcy przeważnie, puszczali się w drogę z wesołą miną, wśród głośnych śmiechów i żartów; — drudzy, żegnając odprowadzające ich rodziny, zalewali się łzami. Ruch, gwar, zamieszanie panowały nie do opisania.

Towarzysz mój przypatrywał się scenie tej z zajęciem, a gdy nareszcie pociąg ruszył, a na peronie rozległ się płacz kilku kobiet, wzdrygnął ramionami.

— Możnaby sądzić — rzekł — iż rozstają się na całe życie, lub co najmniej na parę lat, a wszak pewno tutaj, jak w innych oko-

licach Księstwa Poznańskiego, pobyt ich w „świecie“ nie trwa dłużej, jak sześć, siedm miesięcy... W kwietniu, maju wyjeżdżają, a w listopadzie są już na zimę z powrotem, nieprawdaż?

— Tak zwykle bywa — odpowiedziałam — ale zachodzą wyjątki... Co do mnie, ja łzom ich się nie dziwię, zwłaszcza łzom pozostających... Wierzaj mi, co wiosna patrzę na gromadne te wyjazdy, a zawsze na ten widok serce mi się ściska...

— Jako właścicielce znacznych obszarów, które dla braku robotnika coraz trudniej uprawiać?

— Bynajmniej; żal mi ludu dla niego samego. Nie wchodzę wcale w żadne głębokie kwestye społeczno-ekonomiczne; nie badam i nie wiem, o ile dalekie te wędrówki za chlebem dla bytu jego są konieczne i korzystne; wiem tylko, że są modne, przykład jednych pociąga drugich, i wiem, że są moralnie, z wielu względów, zgubne. W warunkach, jakich żyjemy, wśród tej ogólnej, gorączkowej walki, nie o byt, lecz o coraz większe

polepszenie bytu, żadna siła ludzka, żadna persważya dziś już nie zdoła wstrzymać tych mas ludu, którym się zdaje, że odpowiedniego zarobku w swych stronach rodzinnych nie znajdą, że w „świecie“ lepiej im będzie... Są wypadki, przyznaję, iż się w tym „świecie“ niektórym czasami poszczęści; z Saksonii szczególnie przywożą nieraz do domu sporo zaoszczędzonego grosza, ale ilu stosunkowo w nędzy powraca? A ilu nie wraca wcale?!

Jeżeliś ciekawy wiedzieć, jakie zasady moralności, jakie socyalistyczne poglądy nabywa w swych wędrówkach ten nasz z gruntu uczciwy, religijny chłop polski, na którego oświacie nam tyle zależy — spytaj się proboszcza tutejszego — włosy ci staną na głowie. Jeżeli się przypatrzysz wpływom wywartym na tym chłopie przez dłuższy pobyt jego wśród obcych, a wrogich nam żywiołów, opadną ci ręce, jak mnie często opadają... My tu całemi siłami naszemi prowadzimy walkę odporną przeciw germanizatorskiej szkole za pomocą pism ludowych, czytelni, usiłujemy rozbudzić w polskim ludzie poczucie krzywd

na każdym mu wyrządzanych kroku; w jego dzieciach świadomość narodowości, przywiązanie do wiary, ziemi i mowy ojczystej.... Mamy czasami złudzenie, że te nasze usiłowania są, jeżeli nie zupełnym uwieńczone skutkiem, to przynajmniej nie daremne...

Złudzenie to, nic więcej! Dzieci dorastają, przykrzy im się ciasny, codzień widziany widnokręg, kusi ich, zachęca przykład starszych, ciągnie pragnienie znaczniejszego zarobku, ciekawość wreszcie — jadą i one w „świat“ — zwiedzają miasta, stolice, i zaciera się w ich pamięci nauka księdza, ginie w ich sercu ziarno przez nas tak gorliwie siane... Po latach tułactwa i służby wojskowej w dodatku, ojczyzna niemiecka do swych synów zaliczać ich może! Nie mówię na wiatr — przykładów mi nie brak, niestety! a jak różnych! Jak smutnych i śmiesznych zarazem!..

Znałeś sam przecie Staśka, syna najstarszego z moich włódarzy?... Urodził się tutaj, do chrztu go podawałam, chleb u mnie miał zapewniony. Otóż Stasiek, jak raz w „świat“ wyjechał, tak przez siedm lat znaku życia

nie dał!... Nieraz stary pytał mnie z łzami w głosie: A gdybyć on był umarł, cyby to mnie tu jakiego papieru nie psysłali?... Już się i nie spodziewał więcej go ujrzeć, aż tu naraz, pewnego dnia, wraca Stasiek, nie dorobiwszy się, co prawda majątku, wraca obdarty, wynędzniały, ale zdrów — tylko po polsku tak mówi, że go zrozumieć trudno, a w kościele, to od wyjazdu noga jego nie postała!.. Nie dziw! u samych lutrów był w służbie... Myślisz, że na tem koniec? Rok zaledwie cieszył się nim ojciec — wesele mu sprawił, wyprosił dla niego miejsce pierwszego rataja — na nic wszystko!... Z wiosną uczuł chłopak nudę za „światem", nudę, jakiej przez całych siedm lat za własną chatą nie był zaznał — i mimo gróźb i próśb rodziców, znów rzucił wioskę i zarobek pewny a dostateczny, by się wraz z żoną, przez pośrednictwo ajenta, zgodzić za wyrobnika u Niemców nad Renem...

Chyba tym razem Stasiek już nie wróci...

— A Pawełka sierotę, czy pamiętasz? — Służył u mnie za ogrodniczka; — był z niego

tęgi, zwinny chłopaczek... Od razu, bez przyczyny, z własnej woli opuścił służbę i wraz z innymi pojechał w „świat“. Przez pierwsze dwa lata przysyłał siostrze tu zamieszkałej dość znaczne sumy „pieniężne z Berlina, gdzie w jakimś hotelu zgodził się do czyszczenia widelców i noży“ — pisał przytem, że mu się wybornie powodzi i „że nie tylko w polskim kraju można dobrze żyć.“ — W parę lat później, rozmawiałam z sołtysem naszej wioski, który mimochodem, począł biadać nad rozlicznymi ciężarami niezamożnej tutejszej gminy.

— Teraz jesce, na dobitek — rzekł — od św. Jana, to musi gmina płacić kosta za utzymanie w śpitalu w Berlinie Pawła Gawrota.

— Pawełka? — spytałam zdumiona. — Cóż mu się stało?

— A cóz, prosę Jaśnie Pani — odrzekł — (tu powtarzam dosłownie odpowiedź jego) cy mu to tu we dwoze była kzywda? A później, w tym tam hotelu, cy mu to było źle? Cy to nie dosyć grosa Kaśce napsysyłał? Kiedyć jemu ino zawse lepsejsego losu się chcioło!...

To pozucił hotel a zgodził się do opery — (wymawiał: uopery) — i jak w tej uopeze, zacął śpiewać, dzyć się, a dzyć, co wiecora, az z tego śpiewania całkiem chłopcysko dech stracił i płuca mu uschły... Zal się Boze!... Sósty miesiąc jak chory w tym śpitalu lezy i tak do Kaśki pisoł, ze cuje ze juz pewno z niego nic nie będzie...

Nie mylił się w swych przeczuciach biedny Pawełek, i tej zimy jeszcze, tyle się w operze berlińskiej naśpiewawszy, umarł tam, w obcym szpitalu, daleko od swoich... Nie dowiedziałam się nigdy o rzeczywistym jego teatralnym zawodzie.

— Jeżeli te dwa przykłady ci nie starczą, a masz czas mnie posłuchać, przytoczę trzeci — a! ten chyba boleśniejszy!

.... Przed laty, mniejsza o datę, wybuchł w wiosce naszej tyfus. Czem jest choroba zaraźliwa na wsi wobec braku zachowania wszelkich, najelementarniejszych środków ostrożności przez zarażonych i ich otoczenie, wobec ciasnych, nędzy pełnych mieszkań a rodzin licznych, ten tylko wiedzieć może, kto wła-

snemi oczami na ową Bożą karę patrzał. To też i u nas, w Kowalówce, mimo naszych usiłowań i zabiegów, epidemia coraz to nowe czyniąc ofiary, trwała a raczej wlokła się z przerwami, przez blizko dziesięć miesięcy. Już z samego początku zmuszoną się widziałam sprowadzić kilka zakonnic do pielęgnowania chorych. Codzień po mszy św. jedna z nich zwykła była przychodzić do mnie z raportem o ich stanie a zarazem i po lekarstwa.

Razu pewnego, jak dziś pamiętam, wracałam właśnie z pogrzebu któregoś z służebnych ludzi i pod wrażeniem tego pogrzebu, gdy tuż przy furtce ogrodowej dognała mnie Siostra Marta.

— Jakież wiadomości Siostra dziś przynosi? — zapytałam, spoglądając w jej pogodne lica, starając się w ich spokojnym wyrazie zaczerpnąć otuchy.

— Nie złe, Bogu dzięki — odrzekła — żadnemu z naszych pacyentów się nie pogorszyło, przeciwnie... u Nawrotowej gorączka nad ranem opadła, to dobry znak; i Maciej Kotus silniejszy dziś trochę...

— O nowych wypadkach nie słychać?

— O jednym tylko dopiero co mi doniesiono... Nie wiem jednak jeszcze ile prawdy w doniesieniu... Podobno chłopak Matusowej się wczoraj położył...

Mimo woli okrzyk zgrozy wyrwał się z ust moich:

— Chłopak Matusowej! Tomek!... Jej jedyny!...

Znałam ja go dobrze! Stanęła mi na oczach jego postać drobna, twarzycka smagława o wejrzeniu głębokiem a zawsze spłoszonem — jego rzadki uśmiech wstydliwy.

— Siostro! — zawołałam, przyspieszając kroku — proszę, o proszę się czemprędzej przekonać! Może to nieprawda, może ludzie wymyślili... Dla jego matki byłby to cios ostateczny... onaby go nie przeżyła!

Zakonnica, tak oswojona z widokiem boleści ludzkiej, tak niezwyczajna wypadku, by ktoś takowej nie przeżył, spojrzała na mnie zdumiona.

— Ja znam Matusową już od dawna — ciągnęłam dalej — to dobra, dzielna kobieta,

a ciężką ma dolę na ziemi! Jej mąż, mularz z zawodu, umarł skutkiem spadnięcia z rusztowania w dwa lata zaledwie po ślubie, została sama, z dzieckiem przy piersi i lichem, zadłużonem gospodarstwem na barkach. Odtąd, aby dziecku chleb zapewnić, oddała się cała ciężkiej, twardej, nad swe siły nieraz pracy... Z doświadczenia własnego wiedząc czem może być ojczym, nie wyszła drugi raz za mąż, aby temu swemu ubóstwionemu Tomkowi nie dać ojczyma, boć ten Tomek, to jej oczko w głowie! Nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać wśród wiejskiego ludu tak gwałtownego uczucia miłości... O! musimy, musimy go jej wyratować!

Siostra Marta skłoniła głowę.

— Wyratować może go Pan w swem wielkiem miłosierdziu — rzekła. — Wszak to jedyny syn swej matki, a ona jest wdową...

— Myśli moje dnia tego już i następnych nie odbiegły Matusowej.

Wiadomość o tyfusie Tomka potwierdziła się niebawem; nazajutrz nawet lekarz orzekł, iż choroba groźnie się zapowiada.

Rozpoczęła się długa, nieskończenie długa era wyczekiwania; mijały dnie za dniami, pełne trwogi, niepokoju, zwątpienia, rzadko kiedy tylko słabym błyskiem przeplatane nadziei... We wsi, kilku z dawno chorych, umarło — drudzy do zdrowia powrócili — już i epidemia przygasać poczęła — jeden Tomek leżał wciąż bezprzytomny, czasami w szalonej gorączce miotając się tak silnie, iż go dwie zakonnice utrzymać nie mogły — czasem znów, popadając w stan senno-apatyczny, konaniu się równający.

Co rana raport Siostry Marty brzmiał jednakowo:

— Niema zmiany.

Codzień lekarz trząsł głową znacząco, a Matusowa blada, niema, do widma raczej, jak do żywego człowieka podobna, dniem i nocą stała nad łóżkiem dziecka, z wyrazem dzikiej rozpaczy na twarzy. Pielęgnować nie była go zdolna, słów pociechy słyszeć się nie zdawała, modlitwy głośno przy niej odmawiane, pytania jej stawiane, zarówno bez echa i odpowiedzi pozostawały. Wzrok jej

wlepiony był tylko w Tomka, jej ręka jego rękę ściskała... Przez dwadzieścia kilka nocy nie położyła się, nie rozebrała. Snem zmożona, bezwiednie się na kolana osuwała, a znużoną głowę kładła obok główki chłopca, do siebie ją tuląc... Tym wiecznym uściskiem śmierci go broniła. Modlono się za niego i za nich oboje w całej parafii i możesz mi wierzyć, gdy cię zapewnię, że i dla mnie każda godzina, każdy dzień owego lata niewymownie ciężkiemi były, tem cięższemi może, iż bojąc się zarazę wprowadzić do domu, nie mogłam osobiście Matusowej odwiedzać. Przez cały przebieg choroby Tomka, raz jeden ją ujrzałam; przechodząc niedaleko jej zagrody, mimo woli wzrok mój w tę nędzną chatę wlepiłam. W tej chwili ukazała się Matusowa w drzwiach izby, wolnym krokiem przeszła przez podwórze, zbliżyła się do płota i wsparłszy na nim, błędnie przed siebie spojrzała.

Widok jej zbudził we mnie taką litość serdeczną, że o zarazie zapomniawszy, podeszłam ku niej.

— Bądźcie dobrej myśli, Matusowa — rzekłam — mnie się zdaje, że najgorsze już minęło, byle siły starczyły...

Nie odpowiedziała nic, nawet w stronę moją głowy nie zwróciła, więc dalej ciągnęłam:

— Modlimy się wszyscy za was i za niego. Módlcie się z ufnością i wy. Pan Bóg się zmiłuje, prośby nasze wysłucha, zobaczycie... nie zabierze go wam, nie... nie zostawi was samej na świecie...

Powtórzyła po dwakroć „samej... samej...“, ręką potarła czoło — i nagle, od razu, jakby co dopiero znaczenie słowa tego ogarnęła, wybuchła płaczem strasznym, do wycia podobnym, skryła twarz w fartuch i łkając gwałtownie, namiętnie, w głos zawodzić poczęła:

— O Jezu! O Jezu mój kochany... Samej!.. A cóżbym ja sama na świecie robiła?.. bez mojego chłopyska... bez mojej dzieciny... O Jezu!.. A na stare lata moje któzby mi był pociechą... podporą... mnie, wdowie?!... Ktoby za mnie pracował, jeżeli nie on, mój

kozacek *)... mój jedyny... mój ślicniuśki... moje na ziemi skarby najdrozsze...

Zawodziła, zanosiła się od płaczu, a ja patrząc na nią, razem z nią płakałam, czując że żadne słowo pociechy ludzkiej takiej bezmiernej rozpaczy ukoić nie zdolne.

Po pięciu tygodniach nastąpiło przez lekarza upragnione przesilenie, przełamanie choroby t. zw. kryzys — a w tydzień po kryzys — pomyśl tylko! — recydywa!... Wówczas już wszystkim ręce opadły — wszystkim sił brakło...

Zakonnica jedna z znużenia zasłabła; — lekarz rzekł:

— Niech natura sama walczy — i lekarstw dawać zabronił, a do mnie dodał: Po co go męczyć?

A on, nieboraczek, męczył się sam tak okropnie, że już mu i wyzwolenia z cierpień życzyć należało...

Nareszcie! Nareszcie Bóg cudu dokonał! W chwili, gdy nikt już iskry nadziei żywić

---

*) „Kozak“ — chłopak — wyrażenie ludowe.

nie śmiał, zmiłował się Pan i w swem wielkiem miłosierdziu oddał matce syna, aby jej został, według słów jej własnych, na stare lata „pociechą... podporą“...

Nie zapomnę ja nigdy owego dnia, gdy w kilka tygodni później przyszła do mnie Matusowa z swym chłopakiem podziękować mi za udzieloną pomoc i ratunek. I tym razem, ściskając mnie za kolana, płakało biedne matczysko, ale płakało łzami radości, a zwrok jej bezustannie zwracał się ku niemu, Tomkowi, i zdawał się nie módz od niego oderwać — nim dosyć nasycić!.. A Tomek ów ubóstwiony — jakbym go widziała!.. — stał przy niej, wsparty o nią, mizerny jeszcze i blady, ale „ślicniuśki“ jak dawniej z pod długich rzęs wpół nieśmiało, wpół figlarnie ku mnie wyglądając, z swym dawnym wstydliwym uśmiechem na ustach...

Przez parę lat — ostatnich jego dzieciństwa, pierwszych młodości — był on jej pociechą... zapewne!... I w szkole uczył się dobrze i w polu pracował i jej słuchał i ją kochał...

Później, jak wiesz, opuściłam Kowalówkę, by się w mieście osiedlić; rzadko i na krótko tu przyjeżdżając, straciłam z oczu Matusową i jej syna. Przed tygodniem dopiero spotkałam ją po raz pierwszy od lat dziesięciu.

Przyszła do dworu — po jałmużnę.

Długo samej sobie nie wierzyłam.

— Matusowa! czy to wy?! — spytałam wreszcie, patrząc na jej twarz pomarszczoną, zbiedzoną, na jej przedwczesną siwiznę. — Wy po żebrach chodzicie?!.. A odkąd? A co wam się stało?.. Gdzie Tomek?..

— Tomek w „świecie“, proszę jaśnie pani — odrzekła — a odpowiedź jej znów ci dosłownie powtarzam. — Ani wiem, kędy się obraca...

— Dawno, jak wyjechał?...

— Oj dawno juz, dawno... dawno... pojechał chłopcysko z innymi raz jeden, drugi... to bywało, na zimę wrócił i pieniędzy pzywiózł — toć mu godom: Zostań juz ze mną! Mas chałupę, roli kąsek, ta ozeń się... ja chora, pracować nie mogę jak pierwej... cas

mi spocąć ździebłusko... A dyć gdzie! Nie usłuchał, tzeci raz pojechał — na św. Józef będzie seść lat temu...

— Nie wrócił więcej? Nie pisał do was?

— A dyć pisoł, z jakiejś tam Moguncyji — pisoł po metrykę do nasego jegomości, a do mnie, ze mam cekać, bo na jesień to się ozeni i ze swoją kobietą psyjedzie na mieskanie... Cekam ja, cekam nieboze! rok cały i dwa, a tu bieda coraz gozej dokuca — gospodarstwo mi spzedali — ot! ani to człowiek na stare lata własnego kąta juz nie ma...

Zabrzmiały mi w uszach dawno przez nią wyrzeczone słowa: „Na stare lata, pociechą... podporą...“

Ona dalej mówiła:

— I znów raz tak napisoł, zebym ja do niego się wybrała, bo mnie łatwiej... a za co to się wybrać, prosę jaśnie pani?.. i ze jemu tam dobze się powodzi i ze kobietę ma porządną i ze mu się kozak, Fryc, urodził... Fryc!! prosę jaśnie pani! A w rok po tym Frycu to znowu dziewuska, Greta!.. A toć

mi było za wiele! To wziąłam i napisołam ja mu: A jakoz ty, człowieku, się Pana Boga nie wstydzis, zeby twojem dzieciom takie pogańskie dawać nazwiska? A cy to one lutry, cy Niemcy, cy co? Ot! — i na to moje napisanie nie odpowiedział ani słówecka... Ni się nie troscy, cy jego matka zyje i z cego zyje... ni ja nie wiem, co się z nim dzieje... Kiejby umarł w tym tam „świecie!..“

...Wyciągnęła rękę po jałmużnę...

CÓRKA BAJTAŁY

I.

Po mojej śmierci, ludzie o mnie powiedzą: „Był to uczciwy człowiek“. Czy jednak nim rzeczywiście byłem, oto pytanie, które sobie na schyłku życia, coraz częściej zadaję.

Wracam myślą do dalekich dni młodości, a dnie owe dziwnie jaskrawo w pamięci się mojej malują, roztrząsam sumienie, ważę czyny liczę błędy, grzechy moje i pytam się, jako mnie Bóg wnet zapyta, ażalim wszystkie, według sił i możności, okupił zadosyćuczynieniem?...

A w onej liczbie grzechów, jest jeden, którego okupić danem mi nie było — a ten, po czterdziestu ubiegłych latach, dręczy mnie,

boli, jakoby wczoraj popełniony. Grzech to był niedbalstwa — ot! nic więcej!...

* * *

Kiedy miałem lat dwanaście, matka moja po raz pierwszy się ze mną rozłączyła, oddając mnie do szkół, sama zaś, z mojemi siostrami pozostała w Niżyńcu, dziedzicznej wiosce stanowiącej część obszernych dóbr, których zarządem, po śmierci ojca, z największem poświęceniem się trudniła.

Odtąd rzadko, bo dwa a tylko czasem trzy razy w roku, do domu przyjeżdżałem, na wakacye letnie, na święta Bożego Narodzenia, a kiedy niekiedy na Wielkanoc; resztę roku spędzałem na ławce szkolnej w twardej pracy, bo z matką, gdy szło o nauki, żartów nie było.

Toż niecierpliwości z jaką wyglądałem dnia 15 lipca lub 23 grudnia, opisać chyba nie zdołam. Na dwa tygodnie naprzód liczyłem godziny, wilią wyjazdu rok rocznie

noc całą oka nie zmrużyłem a uczucia zupełnego szczęścia, które mnie ogarniało, gdy pociąg Kraków opuszczał, nigdy później w równym stopniu nie zaznałem.

Cóż dopiero mówić o przyjeździe!...

Dziś jeszcze, na samo to wspomnienie serce mi silniej uderza; dawno zatarte wrażenia z pierwotną niemal odczuwam świeżością, przeżyte życie, starość, blizki koniec, wszystko mi z głowy ulatuje, zamykam oczy i jak różczką czarodziejską wywołany obraz, roztacza się przede mną owa sześciomilowa droga, górzysta i lesista, prowadząca z stacyi kolejowej do Niżyńca, każdy krzew na niej pamiętam, widzę, widzę słup graniczny, starą pochyloną karczmę, która za każdą burzą zawaleniem groziła, a za karczmą na wzgórzu śród trzech topoli wznoszącą się odwieczną figurę, potem długą, przez pradziada sadzoną aleję lipową, a wreszcie — hen! hen w oddaleniu, wielki polski dwór o czterech grubych filarach, przed którym matka i siostry stoją, powiewając chustkami na znak powitania...

Pół wieku — ba! więcej nawet od owych czasów upłynęło, a w uszach brzmią mi jeszcze tysiączne okrzyki, krzyżujące się zapytania i odpowiedzi, ów radosny gwar jaki się po moim przyjeździe w całym domu rozlegał. Matka mnie z objęć wypuścić nie mogła, siostry ciągnęły do jadalnego pokoju gdzie pod ciężarem różnych przysmaków stół się uginał, — służba biegała, — psy, a było ich sporo, szczekały... oj! dobry to przyjazd taki!...

A gdy po niejakim czasie pierwsza chwila ciszy nastąpiła — gdym już wszystkich do syta wyściskał — wszystkim na wszystko piąte przez dziesiąte odpowiedział i głód zaspokoił — przychodziła na mnie kolej zadawania pytań i pytałem zawsze o jedno:

— A co tam Bazyli porabia?

A matka wzdychała...

— Tobie już tylko Bazyli w głowie! No, był tu wczoraj... poczyścił strzelby... naboi narobił... znajdziesz arsenał w porządku...

— A zwierzyny dużo? Są dziki?

I spoglądałem z ukosa na Jakóba, służącego nieboszczyka ojca, który się zawsze śmiało do rozmowy mieszał.

A Jakób tylko z uśmiechem ramiona podnosił.

— Co tam panicz jaśnie panią o zwierzynę pyta! Toć Bazyli już od rana w podwórzu się kręci... ino czeka, aby go zawołać.

I biedne matczysko nie cieszyło się długo swoim jedynakiem, bo jedynak co prędzej biegł do Bazylego na naradę, a nazajutrz do dnia, gdy jeszcze wszyscy spali, zajeżdżała bryka i obaj pędzili do lasu.

* * *

Bazyli był od niepamiętnych czasów nadleśniczym w Niżyńcu. Należał on do coraz rzadszych dziś typów. Myśliwy sławny na całą okolicę, życie spędzał w kniei, wzorowy w niej utrzymując porządek. Miał zaś roboty nie mało, bo obszar lasu był znaczny, zwierzyna się roiła, więc kłusowników nie brakło. Nie byli oni tam ani tak liczni ani

tak niebezpieczni jak naprzykład na Węgrzech — do formalnych bójek rzadko kiedy przychodziło — co roku jednak Bazyli chwytał ich sporo na gorącym uczynku, a że do sądów miał wrodzoną odrazę, wolał sam doraźną wymierzyć sprawiedliwość; niejednemu zatem w cztery oczy tyle wsypał, iż mu na długi czas wszelka chęć do łowów odeszła. Silny był bardzo, przytem zawsze chmurny i milczący — od ludzi stronił, a ludzie od niego; na swojej leśniczówce żył sam, jak pustelnik jaki, w towarzystwie tylko nieodstępnego wyżła, który usposobieniem do niego podobny, warczał na każdego przybysza. Na wsi wyżła więcej jeszcze niż jego pana się obawiano, w mniemaniu, iż czart w jego skórze siedzi, czyhając na duszę Bazylego. Co do mnie, śmiałem się z owych zabobonów i nie podzielałem wcale ogólnego wstrętu ani do człowieka, ani do psa — przeciwnie obu kochałem szczerze i nie wątpiłem nigdy, że przywiązanie to było wzajemnem, choć mi go żaden z nich jawnie nie okazywał; pies bo czasem jeszcze raczył ogonem

machnąć na moje przybycie — Bazyli zawsze milczał.

Lecz co ja tam dbałem o słowa! On pierwszy do ręki włożył mi strzelbę — pierwszego zająca przy jego ubiłem boku — jemu najlepsze, najswobodniejsze chwile młodości zawdzięczałem — z nim dnie całe, od poranka do wieczora błądziłem po lasach, wertepach i górach, ucząc się owego „kunsztu myśliwskiego,“ którego nikt lepiej od niego nie posiadał — żyjąc owem życiem twardem a wolnem, które zarówno muszkuły ciała jak i hart duszy wyrabia...

Ileśmy to czasu razem w ten sposób spędzili! Ile wzruszeń odczuli! Ile przygód przebyli!...

Opowiem jednę:

Było to roku 186* — zima rozgościła się wczesna i ostra — już w listopadzie mróz ściął ziemię i wielkie spadły śniegi — od grudnia zaś padały tak gęste, częste i wśród takich zawiei, że co parę dni ruch kolejowy bywał przerwany a Niżyniec, leżący w górach

daleko od gościńca, zupełnie od reszty świata był odcięty.

Matka pisała do mnie, abym na święta Bożego Narodzenia nie przyjeżdżał, bo mógłbym je łatwo na jakiej stacyi przesiedzieć

Ale gdzie mnie takich rad słuchać było! Miałem wówczas lat piętnaście, a każda wyprawa, połączona z jakiemkolwiekbądź odcieniem niebezpieczeństwa, posiadała dla mnie niezmierny urok.

Wybrałem się tedy w podróż, w błogiej nadziei (która się po części ziściła), że mnie śniegi, nie na stacyi żadnej, lecz w samym już domu zasypią i powrót mój do Krakowa opóźnią.

Opatrzność czuwa nad szaleńcami; — stanąłem w Niżyńcu szczęśliwie, późno wieczorem, w wilią wilii, wśród takiej zadymki, że i lepszej w życiu nie pamiętam.

Cieszono się mną bez miary, a to tem bardziej, że się mnie dnia tego nikt już nie spodziewał, czego najlepszym dowodem była nieobecność Bazylego.

— Nie dziw się — rzekła matka zaraz na wstępie — biedny stary bardzo się temi czasy posunął. Raz jeden się tu tej zimy przywlókł i to po lekarstwo na reumatyzm... A tam teraz do jego leśniczówki ani śladu drogi podobno niema...

— Jakże to będzie jutro? — pytałem sam siebie niespokojnie. Wilia bowiem bez tradycyjnego polowania niemożliwą mi się wydawała.

Zmęczony i smutny poszedłem spać.

Nazajutrz zbudziwszy się już przed siódmą, od razu do okna skoczyłem...

Termometr pokazywał dwa stopnie mrozu, niebo było ciemno-szare, zapowiadające odwilż, ale śnieg nie padał.

— Bazyli tropi — pomyślałem i szybko zacząłem się ubierać.

Jakoż istotnie godzina nie upłynęła, gdy chłopskie saneczki przed dom zajechały, wyskoczył z nich Bazyli, dziwnie sprężysto na człowieka zreumatyzmowanego, otrząsł się z śniegu, którym od stóp do głowy był po-

kryty, a zobaczywszy mnie we drzwiach stojącego, rzekł bez przedmowy:

— Panyczku, mamy dziadunia w łazach... dzień krótki, a droga daleka...

— Mamy dziadunia!

Aż mi tchu z radości zabrakło... Bo dziadunio był to olbrzymich rozmiarów odyniec, dla sędziwego wieku tak przez leśniczych ochrzcony, a do którego co rok od lat wielu w naszych i sąsiednich lasach zawsze napróżno strzelano.

W mgnieniu oka byłem gotowy, zarzuciłem na siebie szopy, porwałem dubeltówkę, a powtarzając tylko: „Dobrze, dobrze, niech mama będzie spokojna“ na wszystkie przestrogi i zaklęcia macierzyńskie, usiadłem obok Bazylego i ruszyliśmy w drogę.

Nadzieja położenia trupem dziadunia nie na mnie jednego oddziaływała wesoło, sam Bazyli mniej ponuro wyglądał i podczas długiej jazdy, wbrew swojemu zwyczajowi, parę razy do mnie zagadał.

Wkrótce jednak twarz mu napowrót spoważniała, a czarne oczy poczęły zpod krza-

czastych brwi coraz chmurniej na niebo spoglądać.

— Psuje się — mruknął pod nosem.

Psuło się i niejedno...

Śnieg, który już od naszego wyjazdu lekko pruszył, teraz coraz groźniejsze przybierał rozmiary. Do naganki zastaliśmy zaledwo dziesięciu małych chłopaków, co Bazylego w straszną złość wprowadziło. Wreszcie leśny Roch, mocno zafrasowany, oznajmił nam, że dzik się pono z łazów wyniósł.

Myślałem, że Bazylego z gniewu i rozpaczy paraliż ruszy; wyłajał okropnie Rocha, wyłajał naganke całą i mnie się nawet coś oberwało; w końcu nasunąwszy swą baranią czapkę głęboko na uszy, zadecydował, iż najmądrzej zrobimy, wracając do domu.

Ale stanowczy podniosłem protest.

— Bój się Boga, Bazyli, wszakże to dzisiaj wilia... Któż widział wracać z lasu, nie popróbowawszy szczęścia. Dziadunio, choć z łazów wyszedł, mógł się w sąsiednich miotach zatrzymać. Zresztą co do mnie, to i lisiurą nie pogardzę.

Stało się według mego życzenia.

Wzięliśmy jeden miot, najbliższy, za nim drugi i trzeci, lecz żaden strzał ciszy nie przerwał. Minęły dwie godziny.

Małoletnia naganka, zmęczona, wśród niesłychanej okiści, z trudem się przez gąszcze przedzierała, idąc gęsiego; śnieg padał coraz większymi płatami, tłumiąc nawoływania leśnych.

Zbliżyłem się do Bazylego.

— Nie wiedzie się — rzekłem — zadymka się wzmaga, bębny pomęczone i wróbla z lasu nie wypędzą. Weźmiemy jeszcze jeden miot — Olszynkę od Dębnika — i na tem będzie koniec...

Bazyli skinął głową na znak zgody — powtórzył dobitnie rozkazy Rochowi i począł strzelców rozstawiać.

Po mojej lewej stronie stanął leśniczy z drugiej kniei — po prawej, za pagórkiem, Bazyli.

Nie upłynęło ani dwadzieścia minut, gdy głuchy, daleki odgłos trąbki oznajmił nam, że naganka rusza...

— Przyjdzie lisiura, czy nie przyjdzie? — pomyślałem, ściskając w ręku strzelbę — — a w tej samej chwili tuż przede mną zatrzeszczały gałęzie, zadudniła ziemia i dziadunio in persona, okrutna bestya o siwym łbie wyskoczył na linię!.. Gorąco, bezprzytomnie strzeliłem raz po raz dwa razy — powstał dym — chciałem zrobić krok naprzód — lecz nim się z miejsca ruszyć zdołałem, olbrzymia masa zwaliła się na mnie i w głębokim śniegu przygniotła zupełnie...

A stało się to tak szybko, że padając, zaledwie miałem czas wydać jeden krótki okrzyk zgrozy, który wśród zadymki zabrzmiał dziwnie stłumiony, jakby nie z moich wyrywający się piersi...

Więcej nic nie pamiętam. . . . . .
. . . .

Kiedym przyszedł do siebie, leżałem wciąż jeszcze w śniegu, lecz z głową opartą o kolano Bazylego — on zaś pochylony nade mną patrzał na mnie z wyrazem takiego przestrachu, jakiego nigdy ani przedtem, ani potem na twarzy jego nie widziałem.

— Cóż? — wybełkotałem, usiłując zebrać myśli.

— Nareszcie! — odpowiedział z westchnieniem ulgi i przyłożył mi do ust manierkę, którą zawsze nosił przy sobie. Łyk śliwowicy wystarczył, aby mi wrócić przytomność.

Rozpatrzyłem się dokoła.

— Dziadunio!.. A dziadunio gdzię?!..

Bazyli tylko splunął.

— Jak to? co? chybiony? Na miłość boską, gadajże, Bazyli!..

I zerwałem się na równe nogi.

— Jużcić, że go chyba nie panicz zabił — mruknął wzgardliwie.

Rzut oka na linię wyjaśnił mi cały przebieg zajścia, które się łatwo w dramat zmienić mogło; ujrzałem trop odyńca (ach! co za trop!) — jak wyskoczył z lasu, na chwilę przystanął i ku mnie się zwrócił — miejsce katastrofy oznaczał głęboko stratowany śnieg i rozszarpane kawałki mojej lisiurki — parę kroków dalej ślad dziadunia, słabo farbą skropiony, gubił się w przeciwległej kniei...

Wskazałem farbę Bazylemu.

— Strzelałeś?

Ruszył ramionami.

— To mi tam łatwe strzelanie z paniczem pod spodem!.. Bogu chwała że i taki koniec...

Tu na sanie wrzasnął.

— Co? do domu mamy wracać? Nie będziemy szukać? — Spytałem nieśmiało, bo czułem że haniebne moje pudło nie prędko mi będzie przebaczonem.

— Szukać będziemy, ale bez panicza — odrzekł krótko — dość strachu na raz... Zresztą — tu znowu splunął — panicza pomoc i takby się na wiele nie przydała...

Nie było rady. Zły, strapiony, obolały wdrapałem się na sanie, zagryzając tylko wargi; Bazyli usiadł obok mnie (bardzo potrzebnie, pomyślałem w duszy), bo w tej chwili, za jego przycinki nienawidziłem go serdecznie i rozpoczęła się długa, nudna jazda ku domowi — powrót, jak to nieraz w życiu bywa, do wyjazdu niepodobny...

Siedziałem z spuszczoną głową — przymkniętemi oczyma, zakapturzony, bo śnieg

sypał że i bożego świata widać nie było — do rozmowy najmniejszej ochoty nie miałem — kiedy niekiedy tylko wyrywało się z głębi piersi moich ciężkie westchnienie lub z ust Bazylego nieparlamentarny wykrzyknik...

Dojeżdżaliśmy już krańca lasu, gdy w tem wykrzyknik taki, dotąd półgłosem, w formie uwagi powtarzany — zabrzmiał a raczej zagrzmiał nagle z taką energią, że mimowolnie drgnąłem, a chłop powożący obejrzał się z zdziwieniem. Ale Bazyli wyjaśnienia dać nam nie raczył, tylko klnąc dalej po polsku, rusku a nawet i węgiersku, jednym susem z sani wyskoczył i wielkimi krokami, z groźnie podniesioną pięścią, podążył ku dziewczynce, śród rzadkiej drągowiny stojącej, z kupką chrustu na plecach...

Mogła mieć lat dwanaście... Zewsząd otoczona, przysypana śniegiem, postać jej wydawała się jeszcze drobniejszą niż nią była w rzeczywistości; twarzyczka chuda, zziębła, patrzała ku nam z pod jaskrawej chusty z wyrazem takiej trwogi że mnie litość za

serce chwyciła; znając Bazylego wiedziałem co ją czeka.

Wielkie było zatem moje zdumienie, gdy tenże, wymieniwszy z nią kilka słów, których śród wichru dosłyszeć nie mogłem, opuścił zwolna pięść i spokojnie do nas powrócił. Na twarzy jego malował się smutek.

— Et! — rzekł, nie czekając na moje pytanie — to ino Hanka, córka starego Bajtały — bodajby go licho udusiło! Jaśnie pani pozwoliła jej chrust zbierać... tam nędza okrutna...

Zamilkł, westchnął i więcej do samego Niżyńca słowa nie wymówił.

Matka moja, ze wszech miar święta niewiasta, od młodu nas przyzwyczajała z ludem wiejskim żyć w styczności; toć też dzieje starego Bajtały dobrze mi były znane; wiedziałem, iż był to pijak i łotr wielki, zgorszenie całej parafii; wiedziałem, iż pierwsza żona jego, piękna Marysia — jak ją we wsi zwano — po krótkiem a bardzo nieszczęśliwem z nim pożyciu umarła z gryzoty wkrótce po urodzeniu Hanki, — dzisiejsza Bajtalina nie-

litościwie się tak z swą pasierbicą jak i własnemi dziećmi obchodziła; Bajtała zaś wcale już swej najstarszej córki ścierpieć nie mógł.

Pamiętnym był mi dzień, gdy Hanka, wówczas dziesięcioletnie dziecko, przybiegła do dworu cała we łzach i w okrwawionej koszuli, wołając o ratunek, bo ojciec „chcieli wszystkich pomordować i chałupę spalić.“

Siostry moje wzięły ją odtąd pod swoją opiekę, jak mogły przed rodzicami broniły, ale nie mogły wiele, bo do Bajtałów przystęp był niełatwy, a za każdy uczynek miłosierny, wyrządzony Hance, oboje się na niej srodze mścili.

— Biedna Hanka!...

I za przykładem Bazylego westchnąłem nad jej smutną dolą.

Każdy myśliwy pojmie, że już dnia tego zupełnego humoru odzyskać nie zdołałem — widok jednak wilii, tradycyjnej wilii, jaką od dawien dawna w domu naszym obchodzono, znacznie zabliźnił rany moje.

I znów jest to jedno z drogich wspomnień, które w życiu człowieka nigdy swej świeżości, ni swego uroku nie tracą.

Widzę pokój jadalny świątecznie oświetlony, w rogach stojące snopki zboża, dopiero co przez starego gumiennego przyniesione — długi stół, pod którego obrusem siana domacać się można — widzę wchodzącą matkę z opłatkiem w ręku, łamiącą się nim najpierw z miejscowym plebanem, potem z rodziną, z nami, wreszcie z całą służbą.

Po matce na nas przychodzi kolej. Każdy chwyta kawałek opłatka, obiega wszystkich zebranych, hucznie, gwarno siadamy do stołu; ach jakże po owych sześciogodzinnych niefortunnych łowach zupa migdałowa smakuje!...

I nagle w połowie wilii słychać pod oknem przytłumione głosy — światełka migają — to szopka przyszła... Następuje chwila milczenia i od razu rozbrzmiewa śród nocy, zadymki i wichru najrzewniejsza z naszych rzewnych kolęd:

„W żłobie leży,
Któż pobieży...“ i t. d.

Słuchamy wszyscy w skupieniu, niektórzy wtórują półgłosem, a mnie, staje na oczach postać dzieweczki śniegiem przypruszonej, mozolnie dźwigającej na plecach kupkę chrustu...

I żal mnie ściska za serce...

Biedna Hanka!...

II.

Od owej pamiętnej dla mnie wilii, minęło lat sporo. Pierwsza młodość, jako burza, nade mną przeleciała; po ukończeniu nauk, na długi czas wyjechałem z kraju i idąc za popędem awanturniczego usposobienia, począłem się tułać po szerokim świecie. Kiedy niekiedy, gdy mnie tęsknota do swoich chwyciła, wracałem do starego gniazda na krótki wypoczynek. W starem gnieździe, po zamążpójściu sióstr, cicho było i pusto... Matka, coraz bardziej na zdrowiu upadająca, samotny żywot w Niżyńcu pędziła, oddając się duszą całą uczynkom miłosiernym i o ile jej sił starczyło, rządom rozlicznych włości.

Ostatni ten ciężar pragnęła wprawdzie gorąco na młodsze i silniejsze włożyć barki, alem z roku na rok ociągał się przed spełnieniem jej życzeń. Swoboda moja drogą mi była; z dziwną lekkomyślnością młodości, nie rozumiałem, nie chciałem rozumieć, iż swobodę ową okupuje jej twarda praca w wieku, w którym do wypoczynku wszelkie prawa miała... A biedne matczysko nie nalegało:

— Używaj życia, moje dziecko, — mawiała z swym pobłażliwym uśmiechem — używaj, póki mnie stać...

I za każdym przyjazdem, jak za dawnych dziecinnych czasów, z tą samą mnie witała radością, za każdem rozstaniem, tym samym krzyżykiem żegnała...

Aż przyszedł dzień, 10 czerwiec, dzień najsmutniejszy w życiu mojem, gdy telegraficznie do niej powołany, przed stary dwór o białych filarach zajeżdżając, po raz pierwszy nie ujrzałem już jej drogiej postaci u progu stojącej — nie uczułem już na wstępie jej radosnego uścisku...

I wtedy to, wtedy dopiero poznałem, czem dla mnie do tej chwili była owa najlepsza z matek i czem ja byłem dla niej... Czem byłem? Może nie troską i nie zmartwieniem, ale do schyłku dni jej w późnej starości, ciężarem, nie podporą, dzieckiem, nie synem...

Oj! użyłem ja, użyłem swobody mojej!

I ta myśl gryzła mnie, trapiła dniem i nocą, tem silniej może, że za późno przybyłem, aby jej wypowiedzieć całą miłość, całą wdzięczność, wszystko czem serce moje na samą wieść o jej chorobie wezbrało, a błogosławieństwo, stygnącą już dłonią na czole mojem zakreślone, ciężyło mi jako niezasłużone...

Nie dziw iż w podobnem znajdując się usposobieniu, towarzystwo ludzi wstrętnem mi się stało; stroniłem od nich jak ranny zwierz i nie wiem czym w pierwszych tygodniach sieroctwa mego, dwa słowa dobrowolnie z kimkolwiek prócz służby wymienił.

Duszno mi bylo w domu pełnym rozdzierających wspomnień, duszno w cudownych ogrodach, założonych, utrzymywanych i pie-

lęgnowanych przez matkę; więc, co wolna chwila, zarzucałem na ramię dubeltówkę, ot tak! z przyzwyczajenia, bo i nieraz nie nabitą i sam jeden z myślami mojemi, szedłem, niepamiętny czasu, błądzić po niżyńskich lasach, póki mnie noc z nich napowrót do domu nie wygnała.

Śród takich wędrówek spotykałem czasem Bazylego...

Są ludzie, na których ząb czasu nie pozostawia śladu. Do takich należał Bazyli. Starym bo mi się zawsze wydawał, lecz zmiany nigdy w nim nie widziałem; ledwo że zawiesisty wąs i krzaczyste brwi nieco silniejszym szronem się pokryły. Na reumatyzm co jesień narzekał, żalił się na starość i o śmierci rad wspominał, strzelał jednak równie celnie jak przed laty, swoje sześć mil dziennie bez znużenia odbywał, a w księżycowe noce chyba nikt nigdy go w domu nie ujrzał. Z wiekiem tylko coraz bardziej stawał się ponurym i małomownym; mimo tego, może właśnie dlatego, towarzystwo jego jakoś kojąco na mnie oddziaływało. Toż,

spotkawszy się z nim, chętnie go przy sobie zatrzymywałem, błądziliśmy razem po lesie, każdy w swoich zatopiony myślach, rzadko kiedy jaką uwagą milczenie przerywając...

Raz, gdyśmy tak w zwykłej zadumie obok siebie kroczyli, śród górzystego zrębu błysła mi nagle czerwona chusta.

— Cóż to? — zapytałem, przystając.

On spojrzał z roztargnieniem a posępna twarz jego bardziej jeszcze sposępniała.

— Et! — rzekł tym samym głosem, temi samemi niemal słowy, których kiedyś już, w dalekiej przeszłości użył — to ino Hanka, córka starego Bajtały, jagody zbiera... jaśnie pani nie broniła...

Skinąłem głową.

— To Bajtała stary żyje?

— A żyje, psia dusza... bodajby go licho udusiło! — I posypały się przekleństwa jak z rogu obfitości, a wyraz nienawistny rozognił mu lica — żyje, dwa razy tej zimy schwyciłem go jak sidła zastawiał.

— Oddałeś do sądu?

Ruszył ramionami.

— Co tam sąd!... Ja go lepiej od sądu osądził... Raz jeszcze, a łeb rozwalę!..

— Ty jemu, lub on tobie, — zauważyłem.

— Ha panyczku! Trudna rada! I to być może. — Tu westchnął. — W służbie zginąć, dobra śmierć!..

Czerwona chusta tymczasem, na odgłos naszych kroków, w górę się podniosła i wyjrzały z pod niej ciemne oczy Hanki.

Zatrzymałem się.

— Jak się masz, Hanka? Kawał czasu cię już nie widziałem — cóż to, nie poznajesz mnie?

Rumieniec okrył jej śniade oblicze — dzban z jagodami złożyła na trawie, a zbliżywszy się do mnie owym wolnym, kołyszącym krokiem, który często wieśniaczki nasze posiadają, do kolan mi się pochyliła.

— Jabym jaśnie pana nie miała poznać?

— Ha! jeślim się zmienił równie jak ty... boś mi się dyable zmieniła, Hanka!..

Spojrzałem badawczo.

Śliczna była — śliczna rzeczywiście w całym rozkwicie swej dziewiczości. Rosła, smu-

kła jak łania, o twarzy pociągłej, ustach koralowych, które się teraz lekko w wstydliwym rozchylały uśmiechu i ciemnych, głębokich jak toń morska oczach...

Patrzałem z nietajonym zachwytem, a patrzeć musiałem długo, bo się już wreszcie Bazyli niecierpliwić począł.

— Słonko wnet zajdzie, Panyczku, a tam na samej granicy stoi co wieczór mylnik nielada.

Na te słowa „mylnik nielada" coś mi po dawnemu serce zapukało; oderwałem wzrok od dziewczyny i po kulę sięgnąłem do torby.

— Bądź zdrowa, Hanko! Zbieraj sobie jagody jak las długi i szeroki... a jak uzbierasz, to przynieś do dworu... Ja kupię... zapłacę dobrze...

Rozśmialiśmy się oboje i poszedłem dalej. Widok Hanki przypomniał mi lata dziecinne, wyprawę na dziadunia i smutny z niej powrót, rozjaśnił mi myśli. Uczułem się dziwnie młody, Bóg wie dlaczego, chyba może dlatego, że od niej samej taka cudna młodość biła...

Po chwili obejrzałem się raz jeszcze.

Stała znów na swym górzystym zrębie i patrzała za nami, oczy dłonią przysłoniwszy. Smukła jej postać w białej koszuli i jaskrawej chuście rysowała się ostro na tle błękitnem nieba, opromieniona cała blaskiem zachodzącego słońca...

W godzinę później, gdy już o zmroku na rozstajnych stanęliśmy drogach, z których jedna prowadziła do Niżyńca a druga do leśniczówki, Bazyli uchylił czapkę, lecz zamiast jak zwykle pożegnać mnie milczącym ukłonem, raz po raz odchrząknął, z nogi na nogę przestąpił — wreszcie ochrypłym głosem rzekł:

— Panyczku, Hanka jest uczciwą dziewczyną.

Skręcił na miejscu i znikł w ciemnościach.

Co do mnie, uwaga ta czy przestroga Bazylego w takie mnie zdumienie wtrąciła, żem długo za nim patrzał, nie zdobywszy się na słowo... Oszalał stary! Co mnie lub jego tam Hanka obchodzi?!... Ładna bo ładna...

ale miłostki nie były mi w głowie... Skąd jemu myśl taka powstała?... Oszalał stary!...

*
* *

Było napisanem, że rok ten łzawo i krwawo w pamięci mojej się wyryje. — Zaledwo po stracie matki zaczynałem do siebie przychodzić, gdy nowy cios spadł na mnie. I znów długo przeboleć go nie mogłem...

Było to dni kilka przed Bożem Narodzeniem: nazajutrz miałem jechać na święta do wujostwa, u których już obie siostry z rodziną bawiły; dzień cały spędziłem na pakowaniu, obrachunkach i dawaniu rozlicznych dyspozycyi — nie było bowiem moim zamiarem przed wiosną do domu powrócić. Pod wieczór dopiero wszystko ukończywszy, zmęczony, kazałem wielki ogień na kominie rozpalić, stolik z lampą, zimną wieczerzą i kilku książkami do fotelu mojego przysunąć i zatopiłem się w głębokiej zadumie...

Na dworze wiatr wył żałośnie i od czasu do czasu śniegiem rzucał o szyby...

— Miła podróż czeka mnie jutro.

I na tę samą myśl, drzewa w komin dokładałem.

Jak długo owa wigilia moja trwała, sam nie wiem, bo po godzinie czy dwóch, ogarnęła mnie senność — książka, którą czytałem z rąk mi wypadła — zdrzemnąłem się.

I śniło mi się, że telegramem wezwany, wracam z dalekiego kraju do Niżyńca, gdzie mi jakieś ciężkie grozi strapienie. — Idę pieszo, drogą dobrze mi znaną, rozciągającą się długą wstęgą przede mną — spieszę się stresznie, by dojść na czas, zastać przy życiu — kogo? Tu plączą mi się myśli — widzę matkę konającą, ruch jej ręki błogosławiącej — i równocześnie czuję, że mnie siły opuszczają — nie dojdę... Droga się zmienia — daremnie staram się ją poznać — śnieg zaczyna pruszyć, wiatr się zrywa, powstaje zadymka... Nade mną, wkoło mnie wszystko białe — zaspy śnieżne z każdą chwilą rosną — zapadam się w nich do kostek — do kolan — nogi mi drętwieją, kroku więcej postąpić nie mogę — chcę wołać o pomoc — głos w gardle zamiera — ogarnia mnie prze-

strach tak wielki, że pot mi czoło rosi — ginę... Wtem gdzieś w dali dają się słyszeć dzwonki nadjeżdżających sanek... Nadstawiam ucha — tak, tak, nie mylę się — jestem uratowany!... sanki dzwonią coraz bliżej, coraz wyraźniej — aż zadzwoniły tak głośno, żem drgnął i zbudził się.

Na kominie ogień dogorywał — książka moja leżała na ziemi, a przed domem, tuż pod oknami sanki dzwoniły...

— Któż mógł o tak późnej godzinie przyjechać? — pomyślałem zdziwiony i właśnie ręką po dzwonek sięgnąłem, gdy wtem drzwi się z łoskotem otworzyły i wpadł Jakób zdyszany i blady:

— Jaśnie panie!... Jaśnie panie!... — wyjęknął — straszne nieszczęście!!...

Zerwałem się na równe nogi.

— Co się stało?!

— Bazylego zabili — jeszcze żyje, Jaśnie Pana tylko woła... Hryńko przyjechał...

— Bazylego zabili!! — To jedno zrozumiałem. Porwałem futro, czapkę i wypadłem na dwór: — Jazda! co koń wyskoczy!!...

I pięć minnt później goniliśmy śród śnieżycy w stronę leśniczówki o dobre półtorej mili odległej, a Hryńko opowiadał mi całą przygodę...

Bazyli był tego wieczora wstąpił do karczmy, co mu się rzadko zdarzało i tam zastał kilku podpitych chłopów, między nimi Bajtałę, z którym wnet wszczął kłótnię. O co im poszło, Hryńko nie wiedział; dość, że obaj w gniewie wielkim wstali z ławy; za Bajtałą poszli jeszcze Łobos i Kuryło, dwóch znanych kłusowników, i w trzech rzucili się na Bazylego; Bazyli chwycił strzelbę, którą był wchodząc w kącie postawił, odwiódł kurki, lecz nie miał czasu się z nią obrócić, bo zewsząd otoczony, całej swej siły użyć musiał, aby się na ziemię nie zwalić; śród szamotania padł strzał — chłopi wylękli odskoczyli w bok, a Bazyli, zatoczywszy się aż do drzwi, runął jak długi na samym progu cały krwią zbroczony... Kto za cyngiel pociągnął, nie wiadomo.

Hryńko skończył opowiadanie, sto razy przerywane to mojemi pytaniami, to nawoływaniem na konie, które brnęły w śniegu.

Nakoniec — po przeciągu czasu, który mi się w mej niecierpliwości nieskończenie długi wydał, daleko przed nami, błysły światełka... dojeżdżaliśmy.

I porwał mnie, jak przed chwilą we śnie, strach okropny: co tam zastanę, życie czy śmierć?

Zdyszane konie zatrzymały się przed leśniczówką; dwoje sani i kilka ludzkich postaci stało w pobliżu; jedna z nich podeszła do mnie, był to leśny, Roch.

— Żyje, proszę Jaśnie Pana — rzekł w odpowiedzi na moje spojrzenie — właśnie co go ksiądz proboszcz wyspowiadał...

Nie odrzekłem nic, tylko co tchu pobiegłem po schódkach do izby Bazylego prowadzących.

Dziś jeszcze, po pięćdziesięciu latach, w oczach mi stoi obraz, który ujrzałem...

Izba słabo była oświetlona... jelenie rogi na ścianach porozwieszane, w dziwaczne, ogromne łamały się cienie; jedna tylko świeczka stała na stole tuż obok łóżka, na którem Bazyli spoczywał; drugą, gromnicę,

on sam z pomocą księdza w już kostniejącej trzymał dłoni; dokoła panował nieład — zakrwawione ubranie leżało na ziemi; obchodził je niespokojnie i wąhał wyżeł o płowym włosie... Cisza przerywana była krótkiem, ciężkiem charczeniem Bazylego i głośno odmawianemi przez księdza modlitwami za konających.

— Wyjdź, duszo chrześcijańska, z tego świata, w imię Boga Ojca...

Zbliżyłem się ostrożnie i z niemą boleścią spojrzałem w bladą twarz starego sługi.

W tej chwili jakby poczuł obecność moją, rozwarł szeroko oczy i wlepił je we mnie.

— Panyczku...

Ksiądz umilkł i odstąpił mi miejsca.

Pochyliłem się nad łóżkiem.

— Jestem tu, mój stary. Mów, czego pragniesz, wszystko, wszystko zrobię.

Zdawał się myśli zbierać. Zmarszczył czoło, usta zadrgały mu kurczowo, żadnego nie wydając głosu. — Wreszcie z wysileniem tak strasznem, że mu pot kroplisty na skronie wystąpił, uchwycił mnie za rękę i rzekł:

— Panyczku... błagam... weź w opiekę... pamiętaj...

— Co? kogo?

Chwila milczenia.

Myślałem, że już nieborak nie zdoła wypowiedzieć ostatniej swej prośby.

Ręka, która moją ściskała, traciła władzę, wzrok na mnie patrzący z wyrazem niewymownej żałości, stawał się szklanym, krwawa piana wystąpiła mu na usta...

Ksiądz ją otarł, powtarzając:

— Wyjdź, duszo chrześcijańska, z tego świata, w imię Boga Ojca...

Wtem wargi starego raz jeszcze się poruszyły:

— Hanka, Hanka, dziecko moje!

Głowę przechylił w tył i lekko westchnął.

Ksiądz rzekł:

— Przestał się męczyć... Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niech mu świeci na wieki...

A ja, czy uwierzycie? Rozszlochałem się w głos, tak jak nie szlochałem przy matki

łożu śmiertelnem, bo zdawało mi się, że wraz z Bazylim skonała cała młodość moja...

. . . .

— Hanka, Hanka, dziecko moje!

Ostatnie jego słowa brzmiały mi w uszach, wracając z pogrzebu.

Więc tak?

Więc i ów odludek raz w życiu swem kochał i kochał gorąco!

Teraz rozumiałem wściekłą nienawiść, którą on i Bajtała wzajemnie ku sobie żywili, a w tragicznym zgonie jego zagadki dla mnie nie było... Wyobraźnia moja mimowolnie wskrzesała daleką przeszłość — ową krótką, namiętną sielankę młodego leśniczego z piękną Marysią — owe ich schadzki miłosne, których tajemnice niżyńskie lasy ukryły i przechowały — ów dramat końcowy...

Stare dzieje!.. Zwykłe dzieje!.. A jednak, gdy z blizka widziane, o ile jaskrawiej, namacalniej nędzę serc ludzkich malują!

I litowałem się nad tym, któremu śmierć

przedwczesna kochanie z objęć wydarła — i żal mi było tego, któremu widok Hanki wiecznym był dowodem i wspomnieniem hańby...

Straszna zemsta, po 20 latach dokonana, nie dziwiła mnie, ani też oburzała, bo straszną musiała być rana, której 20 lat zabliźnić nie zdołało!...

Groźna twarz Bajtały we śnie nawet mnie ścigała.

— Czy on jest mordercą, czy też tylko mścicielem? — pytałem sam siebie w duszy. — Niech go Bóg sądzi... ja go nie wydam....

Z wysileniem odrywałem myśl od krwawego zajścia, które we mnie tyle sprzecznych uczuć budziło, by ją zwrócić ku Hance, owemu ślicznemu dziecku miłości, które miłości chyba nigdy w życiu nie zaznało....

— Bazyli może w spokoju spoczywać — powtarzałem w dobrej wierze — wola jego dla mnie święta — zajmę się losem jego córki — będę jej ojcem....

Bodajby tak!...

Upłynęły dwa miesiące. Sąd po długiem śledztwie w braku dowodów uwolnił Bajtałę

i jego wspólników od zarzutu morderstwa; głośna sprawa powoli przycichła — ludzie zaczęli o niej zapominać; ja jeden do śmierci Bazylego przywyknąć nie mogłem. — To też, gdy siostry moje coraz usilniej nalegały, bym do nich przyjechał, postanowiłem otrząść się i życzeniom ich zadośćuczynić.

Przed wyjazdem powołałem do siebie Hankę.

Przyszła niebawem zdziwiona, nieśmiała, z owym wylękłym wyrazem ócz, które miewają psy często bite.

Wspomniałem naprzód o moim wyjeździe, potem nawiasem o zgonie Bazylego, śledząc na jej twarzy odblasku własnego wzruszenia. Lecz twarz jej pozostała spokojną....

— Wiesz dobrze, Hanka — rzekłem wreszcie — że tak nieboszczka pani, jak i panienki — pod tem mianem znane były siostry moje w Niżyńcu — lubiły cię bardzo i szczerze pragnęły tobą się opiekować. Dziś, gdy pani umarła, panienki daleko, chciałbym je według możności zastąpić. U was gęb wiele — chleba mało i bieda wielka podobno... a tobie... czas za mąż.... Gdybym ja się tak za-

jął twoim posagiem, możebyś się jeszcze i tego lata w czepiec ubrała?... No mów... czy ci tam który nie wpadł w oko?...

Hanka zarumieniła się, wstydziła i śmiała i długo mówić nie chciała, aż wkońcu słowa moje trafiły jej do serca i serce mi swoje otworzyła.

Dowiedziałem się więc, iż Iwan, syn mego włódarza, najporządniejszy we wsi chłopak, już od roku chce się z nią żenić — i onaby od tego nie była — lecz właśnie w jesieni przypada mu służba wojskowa, a choć oboje radzi czekać, ojciec jej o czekaniu ani myśleć nie pozwala, boć trzy lata — czas długi....

Tu się i łzy znalazły.

Uspokoiłem ją zapewnieniem, iż wszystko jakoś ułożę.

— Dostaniesz posag na krowę i własną chałupę, a kiedy ci się twój Iwan tak bardzo podoba, dostaniesz i twego Iwana.... Pamiętaj tylko — dodałem — że twoją rzeczą przez trzy lata czekać.... Groźb ojca się nie bój, nie dam ci zrobić krzywdy, a gdyby cię gwałtem za innego chciał wydać, to tylko śmiało

przyjdź do mnie — już ja sobie z nim poradzę....

Mówiłem w dobrej wierze....

Hanka z wielkiej radości ani słowa wyrzec nie zdołała, lecz jak długa do nóg mi padła.

Nazajutrz wyjechałem.

III.

A teraz przychodzi mi wyznać to, co uważam za więcej jak grzech — i pilno mi skończyć....

Nie będę się oskarżał, ani uniewinniał... opowiem rzeczy jasno i krótko, jak były, bez komentarzy żadnych — bo pilno mi skończyć....

U sióstr moich z przyczyn nieprzewidzianych zabawiłem o wiele dłużej, niż to było moim pierwotnym zamiarem — tam bowiem poznałem i pokochałem tę, która później przez przeszło czterdzieści lat dzieliła wszystkie dobre i złe koleje życia mego, będąc mi i przyjacielem i żoną....

Wymieniliśmy pierścionki w kwietniu ku wielkiemu zadowoleniu obu rodzin; już i o ślubie zaczęła być mowa, gdy wtem matka mojej narzeczonej tak ciężko na zdrowiu zapadła, iż lekarze polecili ją bezzwłocznie na czas nieograniczony w góry przewieźć. Wyrok ten pokrzyżował oczywiście nasze plany. Nie było jednak rady. Po krótkim namyśle wpadłem na dni kilka do Niżyńca, gdzie przeróżne interesa obecności mojej wymagały, a załatwiwszy takowe pobieżnie i zostawiwszy dokładne dyspozycye, tyczące się urządzenia domu, który według możności pragnąłem odświeżyć i upiększyć, podążyłem co prędzej za moją narzeczoną do Szwajcaryi.

Tu zaczęła się dla mnie era niczem nie zamąconego szczęścia. Smutne wrażenia z ostatnich czasów zatarły się do reszty w mojej pamięci — miłość, jak potok wezbrany, uniosła je wszystkie przed sobą — przyroda, ludzkość, świat cały, życie całe śmiało się do mnie w uśmiechu Jadwini, a w błękitach ócz jej niebo mi świeciło....

Jak we śnie upłynęło lato — zawitała je-

sień a z nią i tęsknota za naszem Podolem. Matka czuła się zdrowszą — pogoda sprzyjała, więc w pierwszych dniach października wyruszyliśmy — ach! z jak błogiem biciem serca — z powrotem do kraju. Ślub został nieodwołalnie na koniec miesiąca naznaczony.

Już na granicy pożegnałem te panie, święcie przyrzekając stawić się na imieniny Jadwini i sam wprost do Niżyńca pospieszyłem.... Tam to wśród okoliczności z przyczyn na pozór najbłahszych rozegrał się dramat, którego wówczas ani się domyśliłem.

Com w Niżyńcu zastał, tylko ten pojmie, który coś podobnego na własne widział oczy. Dom cały przedstawiał obraz spustoszenia, nigdzie wolnego kąta, wszystkie pokoje zapełnione, przepełnione pakami, meblami, stosami rozmaitych sprzętów i narzędzi, od poddasza do piwnic, wszędzie pełno mularzy, tapicerów, majstrów przeróżnych, od rana do nocy, wszędzie stukanie, pukanie, łoskot ogłuszający. Mimo zapewnień budowniczego, który robotami kierował, że na czas skończone będą, rozpacz mnie ogarniała. Co chwila po-

woływany na narady, zasypany nawałem interesów, nie wiedziałem istotnie gdzie się obrócić i jak wszystkiemu podołać.

13go października, było to w niedzielę, pół dnia przesiedziawszy w kancelaryi z rządzcą i chłopami, koło godziny 5, wyszedłem w pole i dopiero późnym wieczorem do domu wróciłem. Służący, wnosząc światło, oddał mi list od Jadwini i równocześnie rzekł:

— Była tu, po nieszporach, Hanka, córka starego Bajtały, coby z jaśnie panem pomówić chciała.

Zbliżyłem się do lampy.

Jadwinia pisała:

„Pojutrze zatem moje imieniny.... Nie uwierzysz, z jaką niecierpliwością wyczekuję ich w tym roku, czy może dlatego, że się sąsiedztwo do nas zjedzie i tańczyć będziemy? Jak myślisz?“

Gdyby nie służący, byłbym list ucałował.

— Spakuj rzeczy, — rzekłem tylko, — jutro jadę.

Ale nazajutrz, zaledwie się wieść o moim blizkim wyjeździe rozniosła, Niżyniec cały

zdał się sprzysiądz, by mi w uskutecznieniu mojego zamiaru przeszkodzić. Już od samego rana zaczęto drzwi moje oblegać; napróżno zbywałem ludzi kilkoma słowy, tłumacząc się pośpiechem, odsyłając ich do rządzcy, nic nie pomogło, co jeden wyszedł, dziesięciu wchodziło, — istny sen gorączkowy.

Koło południa, oznajmił mi Jakób, że „Hanka, córka starego Bajtały, co tu wczoraj była, radaby z jaśnie panem pomówić...“

Podpisywałem właśnie kontrakt wódczany.

— Niech czeka — odrzekłem.

Po chwili wszedł urzędnik cłowy z pliką aktów — o bożym świecie zapomniałem...

— Niech czeka...

Czekało biedactwo, czekało pokornie przed domem, godzinę po godzinie, aż wreszcie na dworze się mroczyć zaczęło, zajechały konie i ludzie moje rzeczy wynieśli. Wnet i ja za niemi podążyłem, a za mną nieodstępny budowniczy, któremu setny raz dnia tego pospiech zalecałem. Na samym ganku jeszcze czyhał na mnie żyd arendarz. Zabrakło mi cierpliwości:

— Idź do dyabła! — krzyknąłem, wskakując na bryczkę, — nie mam czasu!

Chwyciłem lejce, bat i już, już ruszyć chciałem, gdy wtem wzrok mój padł na stojącą opodal, znaną mi postać dzieweczki.

Nie dałem jej przyjść do słowa.

— Hanka! Na wieki wyszłaś mi z głowy! Dziś już zapóźno na twój interes... Spieszno mi w drogę, bo droga daleka, ale przyjdź do mnie, gdy wrócę a wrócę za dwa tygodnie. Bywaj zdrowa!

Nie odrzekła nic, tylko jakoś dziwnie na mnie spojrzała i wargi jej raz po raz zadrgały...

Widziałem to jej wejrzenie — mówiło: Miej litość! Widziałem drzące wargi — wołały: Ratuj! I... zaciąłem konie!

Oby mi Bóg tego nie pamiętał!..

* * *

Długa, długa, ciężka zima ustąpiła nareszcie wiośnie tak cudnej, jaka tylko w wyobraźni naszych poetów istnieć zwykła. Z dnia

na dzień znikały śnieżne zaspy, ciepłe wichry zaszumiały, słońce ogrzało ziemię, zbudziła się ze snu przyroda, zazieleniły się drzewa i pola, lasy zagrały śpiewem ptactwa, wieczorami, z głośnem chrapaniem pociągnęły słonki.

A ja, co wiosnę miałem w sercu, dnie całe wraz z Jadwinią spędzałem na powietrzu, usiłując wzbudzić w niej zajęcie do moich zajęć, ucząc ją kochać ten zakątek ziemi, tak bardzo przęze mnie kochany... I dziwnie łatwe miałem zadanie... Ona bowiem zdawała się życzenia moje odgadywać, przylgnęła szybko do nowego gniazda, łagodną a silną dłonią ster domu ujęła, z ludem wiejskim zżyć się umiała, bezwiednie szła w ślady nieboszczki mojej matki.

Razu jednego zabrałem ją na ciąg słonek do lasu. Słońce było jeszcze wysoko, gdyśmy na oznaczone miejsce przybyli; zsiadłszy więc z wózka, udaliśmy się pieszo przechadzką do sąsiedniej kniei, gdzie pragnąłem obejrzeć świeżo sadzone zagajenia. Ludzie, których kilkudziesięciu zastaliśmy przy ro-

bocie, powitawszy nas zwykłem: „Niechaj będzie pochwalony“, ciekawie spojrzeli na swą młodą dziedziczkę. Jedna z kobiet wnet się do niej zbliżyła, prosząc o lekarstwo dla chorego dziecka; ja zaś zawołałem leśnego i zacząłem się tam i napowrót pośród robotników przechadzać.

Nagle ujrzałem Hankę, — była w czepcu i ciężarna...

Urwałem zaczęte pytanie i przystąpiłem do niej:

— Jak się masz, Hanko? Cóż to widzę? Już po weselu?

— Dawno — odrzekła, oddając mi pokłon.

— A Iwan gdzie?

Chwilę stała, milcząc, z spuszczonemi powiekami, potem je zwolna podniosła i ciemne swe oczy w moich zatopiła.

— Iwan w wojsku.

— Toś ty nie za niego wyszła?

— Ojciec bił i bił... ta rady nie było... ot! mój człowiek!..

I wskazała na stojącego opodal Kubę Natusa, przez ludzi „głupim Kubą“ przezwanego.

— Bój się Boga! Hanka! Jakżeś mogła?!.. Czemużeś do mnie nie przyszła?..

— Jaśnie pan nie pamięta... pół dnia czekałam... Jaśnie pan czasu nie miał... ot! po co gadać!.. — dodała z westchnieniem — czy ten czy inny, tać co mnie tam, proszę jaśnie pana, jak nie Iwan!..

Pochyliła się nad robotą, a ja przypomniałem sobie... Bazyli! Bazyli! Tak tom ci dotrzymał obietnicy!..

Stałem przed nią jak winowajca przed sędzią i płakać mogłem na widok tej ślicznej dziewczyny tak zmarnowanej — przeze mnie.

Doleciał mnie głos Jadwini.

— Idę — odrzekłem i znów się do Hanki zwróciłem:

— Bardzoś nieszczęśliwa?

Sam nie wiem po co pytałem.

Spojrzała na mnie swem smutnem wejrzeniem a wargi zadrgały jej, raz po raz — jak wtedy...

— Wnet się skończy — rzekła i wolnym krokiem się oddaliła...

Com się nacierpiał!..

Noc po nocy, od dnia tego, śnił mi się Bazyli a zawsze tak, jak go za życia widziadziałem — to gdy klęczał nade mną po przygodzie z dzikiem, to znów na łożu śmiertelnem, gdy mi dłoń ściskał szepcąc:

— Panyczku!.. błagam!.. weź w opiekę!.. pamiętaj!..

Budziłem się w gorączce.

Wyrzuty sumienia, które sobie robiłem, życie mi zatruwały...

Żona moja wszelkimi sposobami usiłowała żal mój złagodzić, biedną Hankę przygarniając do siebie, pocieszając ją, dodając jej odwagi na przyszłość...

Lecz napróżno!..

Hanka o innej przyszłości marzyła.

Na wszystkie słowa Jadwini, zawsze tę samą miała odpowiedź:

— Wnet się skończy...

I skończyło się...

W piękny dzień jesienny, nad wieczorem, uderzono w kościelne dzwony, raz w duże, za dorosłego — raz w mniejsze, za dziecko...

Byłem w polu.

— Kto umarł? — spytałem fornali.

— Hanka Natusowa, córka Bajtały, razem z dzieckiem swojem.

Tak jest — skończyło się.

Jakby jakąś niewidzialną siłą gnany, udałem się wprost do chałupy Natusów. Kuba był przy robocie. Sąsiadka w podwórku rąbała drzewo. W izbie nie było nikogo.

Spojrzałem.

Pod białym całunem, z rękami na piersiach złożonemi, leżała Hanka na łóżku; przy niej spoczywał trup jej dziecka.

Przez otwarte okienko wkradał się do izby lekki powiew wiatru i poruszał włosem zmarłej; jej ciemne, głębokie jak toń morska oczy, zamknięte były na wieki — długie rzęsy cień rzucały na woskowe lica — usta, jakoby w uśmiechu zwarte, dawały twarzy wyraz pogodny...

— Już nigdy, nigdy drgać nie będą... — pomyślałem i okropny, bezdenny żal za serce mnie ścisnął a w oczach stanęła inna, obszerna izba, słabo oświetlona, na której

ścianach porozwieszane jelenie rogi w dziwaczne, ogromne łamały się cienie...

— Przebacz mi, Hanka — wyrzekłem w głos, a w duszy dodałem: — ach! przebacz mi, przebacz Bazyli!..

* * *

W dwa miesiące później spotkałem Kubę Natusa, jak wiózł wóz siana, na którym młoda, rumiana kobieta siedziała.

— A kogo to wieziesz? — spytałem zaciekawiony.

— Tać, proszę jaśnie pana, to moja nowa żona — odrzekł wyszczerzając zęby w owym głupkowatym uśmiechu, który mu jego przydomek zjednał.

Łzy mi wzrok przyćmiły. Były to zapewne jedyne, które ktokolwiek wylał po córce Bajtały.

WINOWAJCA

Kiedy po dziesięciogodzinnym kamiennym śnie Hans Kmietsch się nareszcie przebudził, widok czterech gołych ścian go otaczających i zakratowanego okienka, przez które blade dzienne światło do celi wpadało, wprawił go w ogromne zdziwienie.

Przetarł oczy raz po raz kułakiem, mrugnął powiekami, ale gdy i ten ruch nie rozwiał złudzenia i nie zmienił postaci rzeczy, usiadł na tapczanie, poskrobał się kilkakrotnie po rozwichrzonej, mocno już szpakowatej czuprynie, a wreszcie, splunąwszy, mruknął pod nosem: „Zum Teufel! Zum Teufel!“

Nie ulegało wątpliwości: był w więzieniu. Zwolna powracająca pamięć uprzytomniła mu popełnione przewinienie; z wielkim wy-

siłkiem myśli, stopniowo, przypominał sobie każdy szczegół dnia, a raczej wieczora poprzedniego... Pokręcił znów głową, jakby sam sobie się dziwując i w końcu — ale tym razem już zupełnie rozbudzony i winy świadomy — uderzył się pięścią po udzie i na cały głos zawołał: „Zum Teufel!“

Hans Kmietsch miał bardzo słuszne powody dziwienia się samemu sobie...

On, człowiek spokojny, robotnik wzorowy, liczący lat pięćdziesiąt z górą, dotąd nigdy nie karany, członek Kriegervereinu, ojciec dorosłych dzieci, wtrącony teraz został do więzienia za pobicie i ranienie kilku ludzi, a może i — co Boże uchowaj! — za uśmiercenie jednego...

Przeżegnał się.

Co też do niego ni stąd ni z owąd przystąpić mogło? Co za licho w piersi jego wywołało nagle ową istną burzę, ów szał wściekłości, który go rzucił na przeciwników, zwykłych swoich towarzyszy pracy?!

Po chwili położył się napowrót na tapczan — oparł głowę na ręku i popadł w zadumę...

Kmietsch nie miał zwyczaju analizowania uczuć. Myślał wolno, ciężko, mozolnie, ot! jak to zawsze myśli chłop; ale obecnie począł się mimowoli głębiej zastanawiać nad przebytem zajściem i robić rodzaj rachunku sumienia — z całego życia...

Niemcem był, Niemcem z przyzwyczajenia, a poniekąd i z przekonania, chociaż nie z urodzenia.

Daleka przeszłość, pamięć lat pierwszych dzieciństwa i młodości w polskiej spędzonych wioszczynie, od dawna i zupełnie się w sercu jego zatarły...

Życie dla niego rozpoczynało się dopiero z chwilą, gdy wstąpił do wojska w Berlinie. Przesiedlony nagle z nędznej chaty do koszar stołecznych, olśniony przepychem wielkiego miasta, upojony gorączkowym panującym w niem ruchem, oraz łatwemi zabawami, uległ od razu, bez walki — jak tylu innych jemu podobnych ulega — czarowi tej niczem niezrównanej niemieckiej potęgi, o której ogromie codzień, od rana do nocy i na każdym kroku, przełożeni jego i kole-

dzy mu prawili. Nie upłynął ani miesiąc, a już poczuł się dumnym z przywdzianego munduru i dumnym z swej przynależności do olbrzymiego niemieckiego państwa; uwierzył święcie, że Berlin jest pierwszą na całej kuli ziemskiej stolicą, a miano pruskiego żołnierza w całym świecie najszczytniejszem. Uczucie zaś to rozwijało się i wzrastało tem szybciej i silniej, że miał on w sobie wrodzoną żyłkę żołnierską. Służba dla wielu wstrętna i uciążliwa, dla niego posiadała tak niezmierny urok, że po skończonem trzechleciu pozostał nadal w wojsku, aby się dosłużyć stopnia podoficera. A każdy rok robił swoje: po pierwszym, mówił jeszcze łamaną polszczyzną i nawet się na starej polskiej książce modlił; po siedmiu latach pobytu w Berlinie przestał się modlić i zaledwie już niektóre polskie wyrazy rozumiał. Jan Kmieć przeistoczył się najzupełniej w Hansa Kmietscha.

Jeżeli kiedy, w samych początkach, jakieś napomnienia zmarłej matki, jakieś przestrogi proboszcza i panienek „z dworu“ słabem

echem w duszy jego się odzywały, budząc w niej niepokój, wnet go zagłuszał uwagą przez któregoś „kamrata“ wypowiedzianą, a która mu swego czasu do przekonania ogromnie trafiła: „Polski niema, a Niemcy są! Głupi tylko trzyma się tego, czego niema, a mądry tego, co jest“.

Argument ten wydawał mu się wprost bez repliki; toż trzymając się oburącz tego, co było, mówił po niemiecku, myślał po niemiecku, czuł po niemiecku i był szczęśliwy...

Szczęście to zamąciła mu na krótką chwilę błaha okoliczność. Oto, kiedy za namową przyjaciela wystąpił wreszcie z wojska i jako puszkarz przyjął dobrze płatne miejsce w Szpandawie, poznał tam córkę zamożnego kupca, Gretę. Podobał się dziewcce, a ona jemu, więc postanowił się z nią ożenić i w tym celu napisał po metrykę do proboszcza z wsi rodzinnej, Siemianic, w Poznańskiem.

Zamiast metryki przyszedł list; listu sam nie będąc w stanie odczytać, dał go do przetłómaczenia znajomemu Polakowi. Proboszcz,

ten sam, który go przed laty chrzcił, potem uczył katechizmu i do pierwszej spowiedzi przygotowywał, po ojcowsku go przestrzegał, aby się z Niemką luterką nie żenił, bo takie związki Kościół potępia, radził mu wrócić do kraju, gdzie młode siły potrzebne, obiecywał swą pomoc w wyszukaniu miejsca, a wreszcie kończył napomnieniem, że jeżeliby jego postanowienie nieodwołalnem się okazało, to aby przynajmniej się przed ślubem zobowiązał przyszłe swe dzieci w katolickiej wychować wierze. Pod tym tylko warunkiem obiecywał wystawić mu metrykę.

Kmietsch wielce zakłopotany, udał się z listem tym do Grety, ale Greta łzami swemi i perswazyami zdołała niebawem uspokoić powstałe w sumieniu jego wątpliwości; przecież ona nie była żadną poganką, ale chrześcijanką, jak on chrześcijaninem — i ona w Pana Jezusa też wierzyła i do swego kościoła gorliwie uczęszczała i nawet bardzo, bardzo była nabożną... Cóż to? Czy to jedna wiara nie taka sama dobra, jak druga? A co do dzieci, kto widział naprzód się do czego

zobowiązywać? Może ich wcale mieć nie będą!... Zresztą mniejsza z tem! Obiecać nie zaszkodzi, byleby ksiądz czemprędzej metrykę przysłał!...

Pobrali się tedy bez innych trudności tej samej jeszcze wiosny i żyli z sobą w przykładnej zgodzie przez lat dwadzieścia trzy, a choć swych dwóch synów, za namową żony, Kmietsch po lutersku ochrzcić pozwolił, Pan Bóg mu tego widocznie za grzech nie poczytał, bo chowali mu się czerstwo i wreszcie wychowali, jeden na żołnierza, a drugi na marynarza.

Przez cały ten tak długi przeciąg czasu nigdy, ani na chwilę, nie odezwał się w Kmietschu głos sumienia. Powodziło mu się dobrze, co roku sporo grosza na bok odkładał, zupełnie oddany swej codziennej jednostajnej pracy, mało się troszczył tem, co go wprost nie dotyczyło, a już chyba najmniej tem, co się tam gdzieś w dalekiem Poznańskiem działo... Do polityki, a raczej do politykowania, żadnego nic czuł w sobie pociągu; za to, pomny swej tyloletniej służby w woj-

sku i stopnia podoficera, uważał się za wzorowego obywatela-patryotę i skrupulatnie pełnił wszystkie swe obywatelskie obowiązki. Obowiązki te zaś zasadzały się na tem, że regularnie uczęszczał na zebrania Kriegervereinu, głosował stale na kandydatów rządowych, a w dzień urodzin monarchy brał udział w różnych patryotycznych uroczystościach, z których wracał do domu o niezwykle późnej godzinie, mocno podchmielony, śpiewając na całe gardło: „Deutschland, Deutschland über alles!“

Jak dawniej z własnego był dumny munduru, tak później chełpił się stanowiskiem i powodzeniem synów; kiedy obaj w r. 1900 do Chin wyprawieni zostali, duma ta niepokój jego koiła; niemal codzień pocieszał stroskaną żonę zapewnieniem, z wielkim wygłaszanym ogniem, że „niema się czego obawiać, albowiem chłopcy wrócą, niezawodnie wrócą cało, zdrowo, zwycięsko, sprawszy Chińczyków na kwaśne jabłko, przysporzywszy chwały swej potężnej, niezrównanej niemieckiej ojczyźnie i sami chwałą okryci, za

co od Najśniejszego cesarza sowitą nagrodę dostaną!“

Tymczasem, po odjeździe chłopców w świat, w domu rodzicielskim uczyniło się bardzo cicho i pusto, a gdy po krótkiej chorobie nie doczekawszy się powrotu synów z wojny, Greta nagle umarła, stary Kmietsch znalazł się znów, jak ongi przed dwudziestu trzema laty, sam jeden na Bożym świecie...

Wówczas usposobienie jego uległo zmianie; stracił humor, zestarzał się, sposępniał — z małomównego zrobił się całkiem milczący i na wszysto obojętny, a równocześnie czy to już skutkiem wieku, czy też trwogi przed samotnością, począł się bardziej do ludzi garnąć. W Szpandawie mieszkało zazwyczaj kilku robotników Polaków; ale Kmietsch, nie uważając się za ich współziomka, żadnych zażylszych nie miał z nimi stosunków; zresztą w zażyłości z nikim nie żył, ani teraz żyć nie pragnął — blizkość ludzi mu wystarczała. Dziwnie trudno bywa w późniejszych latach zmienić od razu dawne przywyknienia i cały tryb życia; jednak do

tej zmiany został zmuszony; całe dnie wprawdzie spędzał, jak zwykle, w fabryce i tam przy warsztacie, jeszcze znośnie czas mu płynął, pracą tęsknotę zabijał — za to po za godzinami fabrycznemi bezmierną odczuwał boleść... Chcąc bądź co bądź uniknąć widoku pustego domu, postanowił jak najmniej w nim chwil przepędzać; stołował się więc u sąsiadów, a wieczorem chronił się do gospody Zum Weissen Hirsch, przez swych towarzyszy i znajomych najbardziej uczęszczanej; tam obrawszy sobie raz na zawsze cichy kąt przy bocznym stole, codzień o tej samej godzinie, zwykł był na swojem miejscu zasiadać, zapalał fajkę i popijając piwo, przysłuchiwał się rozmowie obecnych, rzadko kiedy w niej udział biorąc.

Minęło w ten sposób od śmierci Grety pół roku.

W tym czasie zjawił się w fabryce, i to w tym samym co jego oddziale, młody chłopak, Polak z Poznańskiego. Coś w jego postawie, czy też wejrzeniu, przypomniało Kmietschowi jego własnego najmłodszego

syna, tego wesołego Fritza, który był jego oczkiem w głowie, a teraz, od tylu już miesięcy, znaku życia mu nie dawał.

Przy pierwszej sposobności zbliżył się do przybysza i zawiązał z nim znajomość. Chłopak okazał się wylany i szczery jak złoto; od razu mu opowiedział swoje dzieje — więc, że się zowie Idziek Prawula, że wojskowość już odsłużył, a teraz się do Szpandawy na dwa lata zgodził, że może w niej zresztą spędzi i trzy, ale nie więcej, bo uzbierawszy nieco grosza, zamierza wrócić do kraju i tam ożenić się ze swoją wybraną i ukochaną, która na niego czeka...

— A z jakich to stron jesteś? — spytał Kmietsch.

— Z dalekich! — brzmiała odpowiedź — aż z pod Byczyny.

Kmietsch uważnie spojrzał na niego.

— Ja pytam z jakiej wsi?

— Z Siemianic, w Poznańskiem...

Z Siemianic!.. Coś ścisnęło za gardło starego tak, że tchu mu zabrakło... Zamilkł. I w tej samej chwili przed oczami jego stanęła do-

brze mu znana rodzinna wioska polska... Jak na jawie ujrzał wzdłuż drogi rozrzucone chaty — jedne drewniane, słomą kryte, drugie murowane, o czerwonych dachach, wielki dwór wśród klombu drzew położony, kościół otoczony lipami... Tak! Przed laty, przed laty w jednej z tych chat pochylonych on ujrzał światło dzienne! Tam spędził dnie dzieciństwa przy boku matki, pod okiem matki!...

Tam ona, już obłożnie chora, tak często przywoływała go do siebie — swego jedynaka — i kładąc wychudłą dłoń na jego jasnej głowie, cichym głosem powtarzała — —

Co też ona powtarzała?...

Kmietsch przetarł czoło.

Jakieś polskie słowa, ach! tak dawno zapomniane — w niepamięci pogrzebane... Jak one też brzmiały? Co znaczyły? Może przecie uda mu się przypomnieć...

— Wie sagt man polnisch: Bis zum Tode? — spytał nagle.

Idziek zdziwiony, odrzekł:

— Do śmierci.

Oto to!... Do śmierci!... Tak matka mówiła: „Do śmierci zostań Polakiem!“... I ksiądz mu to też powtarzał. I panienki z dworu... tyle razy!... Wszyscy, wszyscy w Siemianicach żegnali go temi samemi słowami, kiedy w świat wyruszał.

A on — czemże on został?...

Ba! I cóż z tego, że oni jedno radzili, a on wybrał drugie?... Każdy przecie tak postępuje, jak mu z tem jest dobrze! Swego wyboru nie miał powodu żałować!...

Kmietsch splunął, wzruszył ramionami i wrócił do roboty.

Ale nazajutrz, już podczas południa, znów do Idźka się zbliżył i począł, niby od niechcenia, mówić:

— Ja znam Schiemianitz, ja tam kiedyś był... Gadajno co tam nowego? Czy stary Mega żyje? A kulawy Rybak? A co słychać u Nawrota? A ksiądz? A pan? Czy jeszcze ci sami? Jak im się powodzi?

I potem sznurkiem, potokiem sypnęły się pytania, na które często Idziek odpowiadał:

— Nie wiem o kim mówicie... O takim nie słyszałem... Ci dawno pomarli... a ci się wynieśli...

I już od tej chwili, chociaż Kmietsch sam sobie nawet w skrytości ducha tego nie przyznawał, rozmowa „o swoich“ z Idźkiem stała się jego rozrywką jedyną, myślą przewodnią, potrzebą serca. Więc codzień podczas pauzy w fabryce, a częściej jeszcze w dnie świąteczne, szukał jego towarzystwa i pytał go i badał i słuchał...

A rozmowy zwykle zaczynał słowami:

— Sag'mal Fritz — bo go Fritzem nazywać lubił.

Idziek, mimo różnicy wieku i usposobienia, przestawał z nim chętnie. Sam, będąc zagorzałym Polakiem, stronił, o ile mógł, od Niemców, z zamiłowaniem czytywał gazety i różne polskie pisma, żywo zajmował się wiadomościami z kraju i gotów był rozprawiać o nich niezbyt poprawną niemczyzną całemi godzinami.

Od niego więc stopniowo, powoli, dowiedział się Hans Kmietsch o stosunkach panu-

jących w Poznańskiem, o owej tak zaciętej a nierównej walce słabych z mocnymi, o prawach wyjątkowych, wydalaniach, kolonizacyi, niemieckiej nauce religii w szkole, rozwiązywaniu zebrań, prześladowaniu i tępieniu wszystkiego, co polskie, i o tych setnych i tysiącznych krzywdach bezkarnie codzień lud polski spotykających, a wołających o pomstę do nieba...

Z początku wszystko to Kmietscha nie wiele zajmowało; dziwił się odporności Polaków i raz po raz potrząsał głową:

— Po co walczyć? Po co się napróżno upierać? Na co się to przyda? Wy przecie słabi, bezbronni... a Niemcy wielkie i mocne... Oj! oj! jeszcze i jakie!...

I przypominał sobie życie w Berlinie, manewra cesarskie, w których uczestniczył, świetne parady na Tempelhofie, owe niezliczone, cudne massy wojska, wykonywujące jak jeden mąż obroty na placu mustry — w uszach mu brzmiały odgłosy bębnów, komendy wodzów, porywająca muzyka pułkowa

i różne przemowy monarchy przy zaprzysięganiu rekrutów...

O tak! Niemcy są wielkie i mocne!

Ale Idziek nie przeczył.

— Prawda! Niemcy są wielkie i mocne, ale sprawiedliwość Boża i większa i mocniejsza!...

I znów prawił o miłości ojczyzny, o tem przywiązaniu silnem a głębokiem, które nie na tem polega, aby być z ojczyzny swej dumnym, kiedy stoi u szczytu potęgi i chwały, ale na tem, aby jej według sił służyć i wiernym pozostać, kiedy ona — podobna umarłej...

A że chłopak był młody i czuł gorąco, więc też, gdy mówił, oczy mu się iskrzyły, a słowa ogniste z ust jego padały...

Kmietsch słuchał w milczeniu.

Raz, było to w jakie sześć miesięcy po ich pierwszem spotkaniu, zastawszy Idźka siedzącego nad swoją gazetą, rzekł do niego:

— No, Fritz, przeczytaj mi co głośno, spróbuję zrozumieć...

I począł słuchać z wielką uwagą i natężeniem; ale jedno i drugie było z jego strony

zbyteczne, bo prócz kilku urywanych wyrazów, sensu zgoła nie zrozumiał; jednak Idźkowi nie przyznał się do tego, bo mu było wstyd...

Owo poczucie wstydu, którego sam zaledwie na wpół był świadomy, wstydu za wyparcie się narodowości i poniekąd wiary ojców, za lekceważenie napomnień matki, a zwłaszcza, zwłaszcza za wychowanie synów na wrogów ojczyzny, owo poczucie coraz częściej i coraz silniej nurtowało w piersi biednego starego Kmietscha...

Sumienie się w nim budziło.

I oto znów po niejakim czasie gazety przyniosły hiobowe wieści z kraju o sprawie wrzesińskiej!

Idziek, drżący cały z oburzenia, pożerał je formalnie — po dziesięć razy każdy artykuł odczytywał, objaśniał, tłómaczył. Kmietsch, dotąd tak powściągliwy w okazywaniu wrażeń, teraz po raz pierwszy dzielił jawnie jego oburzenie...

Cały przebieg tej tragedyi — bohaterski opór dzieci, uwięzienie rodziców, nad wyraz

rzewna obrona matek, wreszcie groźny wyrok sądu, wszystko to ogromne na nim sprawiło wrażenie; długo milczał, nie zwracając uwagi na wykrzykniki i przekleństwa przez Idźka miotane — nakoniec zwrócił się ku niemu i zwolna spytał:

— Jakto ty powiadałeś niedawno? Że Niemcy wielkie i mocne, ale że sprawiedliwość Boża i większa i mocniejsza... Czy tak? Powtórz-no...

. . . .

Kilka dni później, wieczorem, Kmietsch siedział przy swoim zwykłym stoliku w gospodzie Zum Weissen Hirsch, a paląc fajkę i pijąc piwo, przysłuchiwał się ogólnej rozmowie. Godzina była późna, więc oczy do snu mu się kleiły i na wpół już drzemał, gdy wtem doleciał go basowy głos Bayera, zakutego Prusaka i wielkiego miejscowego polityka. Rozprawiał o zajściu w Wrześni, o sprawie polskiej pod zaborem pruskim, chwalił postępowanie rządu i hakaty, o Bismarku wspomniał z uwielbieniem, a wreszcie, zapalając się stopniowo, począł Polaków od

ostatnich wyrazów wyzywać, wśród powszechnego śmiechu i przytakiwania.

Hans Kmietsch ocknął się — poruszył niespokojnie na ławie i brwi zmarszczył. Przemowa Bayera dziwne zaiste w nim wzniecała objawy: serce poczynało mu bić gwałtownie, a krew falą do głowy napływała...

Nagle na słowa: Die Polnische Schweinebande wyrżnął pięścią w stół, aż szklanice na nim podskoczyły i na całe gardło wrzasnął:

— Halt's Maul dort, Bayer! Lass die Polacken in Ruh! Sonst werde ich hauen!

Groźba ta wywołała olbrzymie zdziwienie. Kmietsch, w mniemaniu wszystkich obecnych, był przecie rodowitym Niemcem; co też do niego przystąpiło, aby stawać w obronie Polaków i to w ten sposób jeszcze?!...

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, usta się szeroko roztworzyły, przez chwilę grobowa cisza zaległa w sali; ale Bayer wnet oprzytomniawszy, poczerwieniał jak burak i do Kmietscha przyskoczył:

— Widzicie go! Mówić mi zakazuje! A to jakim prawem? Czy to ja twój parobek, czy co? I grozić mi będziesz w dodatku? Kpię sobie z twoich gróźb! Właśnie, że będę gadał, co mi się żywnie podoba i więcej!... Psie krwie Polaki! Gałgany! Łajdaki! Sobaki przeklęte! Bydlęta!... Bodajby ich wszyscy dyabli z piekła...

Ale nie dokończył, bo oto w tej chwili ogarnął nagle starego Kmietscha ów straszny a niewytłómaczony szał wściekłości... Zerwał się na równe nogi, chwycił za ciężki próżny kufel i z okropnym zamachem grzmotnął nim z całej siły Bayera w sam łeb nad uchem; Bayer zalał się krwią i bez jęku runął pod ławę, a gdy wśród piekielnego zgiełku część robotników ku rannemu z pomocą pospieszyła, inni zaś do Kmietscha się zwrócili, on wszystkich najbliższych, bez różnicy, począł, jak opętany, potężnym kułakiem w kółko okładać, w najwyższej furyi przy tem rycząc:

— Da habt ihr's! Für die Schweinebande! Und für die polnischen Hunde!

Und für das polnische Rindvieh! Da habt' ihr's! Noch eins! Noch eins! Noch eins!...

I bił, tłukł, młócił, walił na wszystkie strony, bezprzytomny z gniewu, tak długo i tak skutecznie, że trzech przeciwników na ziemię powalił, a reszta ku drzwiom się cofać poczęła. Na odgłos bójki i coraz to wzmagającego się wrzasku, zjawiła się policya.

Żandarm, dobry Kmietscha znajomy, żywo do niego przystąpił:

— Człowieku! co wam się stało? Czyście się wściekli? czy spili? Opamiętajcie się. Patrzcie! otoście Bayerowi łeb roztrzaskali, że ledwo dyszy, a i tamtych poczęstowaliście niezgorzej... A teraz co? Choćbym i nie chciał, muszę was z sobą do ciupy zabrać... Tam odzyskacie rozum...

Zdyszany, zziajany Kmietsch otarł rękawem spływający mu po twarzy pot, powiódł błędnem okiem wkoło siebie i bez oporu dał się do więzienia zaprowadzić...

I oto tam po dziesięciogodzinnym kamiennym śnie nareszcie się obudziwszy, przemy-

śliwał obecnie nad popełnioną winą i nad tym dziwnym zbiegiem wypadków, który go pchnął do podobnego wybuchu...

. . . .

Sprawa Kmietscha w całej Szpandawie obudziła niezwykłe zajęcie, a przedstawiała się o tyle dla niego niekorzystnie, że choć Bayer z odniesionych obrażeń cielesnych nie umarł, jednak okazały się one poważne i trudne do wyleczenia. Sam zaś oskarzony pogorszył znacznie swoje położenie zeznaniem przed sądem.

Na pierwsze pytanie sędziego, jak się nazywa, odpowiedział wprawdzie bez wahania: „Hans Kmietsch“, ale na następne, jakiej jest narodowości, milczał uporczywie.

Sędzia w przypuszczeniu, że nie był należycie zrozumiany, zmienił pytanie na:

— Sie sind wohl ein Deutscher?

Na to Kmietsch po namyśle przestąpił z nogi na nogę, odchrząknął i bardzo cicho odrzekł:

— Ich bin... ich bin...

Tu podniósł oczy. Spotkał się ze wzro-

kiem Idźka, siedzącego wśród widzów i ponowie urwał.

Potem machnął ręką.

— Ja na to pytanie odmawiam odpowiedzi...

Sędzia pochylił się do ucha swego kolegi i szepnął:

— Ten człowiek jest chyba niespełna rozumu... Jak się panu zdaje?

Ale na dalsze pytania Kmietsch znów całkiem jasne i przytomne dawał odpowiedzi; przy jednem mianowicie obstawał bardzo stanowczo: oto twierdził, że kiedy się na Bayera rzucił, nie był w stanie napiłym. Napróżno mu sędzia podsuwał i tłómaczył, że właśnie taki wypadek stanowiłby w danym razie dla niego okoliczność łagodzącą — Kmietsch się zaciął i twierdzenia nie zmienił:

— Byłem całkiem trzeźwy — powtarzał dobitnie — sprałem go, bo na to zasługiwał; przecie go wpierw uprzedziłem: „Stul pysk, bo będę bił“...

Kmietsch skazany został na 6 miesięcy więzienia.

Wyrok przyjął spokojnie, nawet obojętnie i natychmiast zaczął karę odsiadywać; że mu jednak ona obojętną nie była, dowodził głęboki smutek, w jaki od tej chwili popadł. Znajomi, którzy go często odwiedzali, dziwili się jego zmianie i usiłowali go pocieszać: „Ot, nie bierzcie sobie tego wszystkiego tak bardzo do serca... Taki trafunek każdego spotkać może... Głowa wam przecie z karku nie spadnie, a pół roku szybko minie“...

On słuchał ich w milczeniu — czasem za dobre słowo dziękował, ale przed nikim się nie tłómaczył; rad był jedynie Idźkowi. On jeden ból jego rozumiał i miał dar smutne myśli rozerwać. A te myśli — wśród długich godzin więziennych były ciężkie i gorżkie... Każdy przebyty dzień jaśniej mu uświadamiał ogrom popełnionej winy, nie tej, za którą pokutował, ale tej drugiej, całego żywota, której mu żadną już miarą zmazać nie mogło być danem!...

Kiedy nareszcie karę odsiedziawszy, Kmietsch się do pracy w fabryce zameldował, dostał krótką odpowiedź, że miejsce

jego zostało zajęte; wypłacono mu jednak całoroczną płacę przez wzgląd na jego długoletnią służbę.

Wieść o nieszczęściu, które go spotkało, rozeszła się szybko wśród robotników i ogólne wzbudziła współczucie — Kmietsch bowiem, mimo swej zwykłej małomówności i ostatniego przewinienia, miał mir między ludźmi; u kilku jego towarzyszy powstała wnet myśl wstawienia się za nim in gremio do dyrektora; ale kiedy się o tym ich zamiarze przez Idźka dowiedział, zaraz ich w wykonaniu tegoż powstrzymał.

— Bóg wam zapłać za dobre chęci — rzekł im przy pierwszej sposobności z pewnem zakłopotaniem — ale ja się namyśliłem. Stary jestem... już i mnie odpadła ochota do dalszej pracy w Szpandawie... dajcie więc spokój, kamraty.

A przed Idźkiem wywnętrzył się tego samego dnia jeszcze:

— Tobie, Fritz, powiem szczerze, o czem ja myślę... Od pierwszej chwili, kiedy mi

o Siemianicach wspomniałeś, taka mnie bezmierna tęsknota za niemi chwyciła, że sobie rady dać nie mogę... Aż mi dziw, że tak długo bez nich wytrzymałem... Otóż ja teraz tam wrócę... Człowiek głupi strwonił siły, zdrowie, czas — ot! co tu mówić? życie całe między obcymi... Trudna rada! Co się stało, już się nie odstanie... ale przecie umrzeć między swoimi, to mi jeszcze wolno!... Synowie w świecie... tu mnie nic nie trzyma — niech przynajmniej kości moje złożę na starym cmentarzu, gdzie ojcowie leżą...

Jak powiedział, tak i zrobił. Co posiadał, sprzedał — co miał gotowizny, zebrał i pięknego jednego poranka, odwiedziwszy wpierw grób swojej Grety i pożegnawszy przyjaciół, wsiadł do berlińskiego pociągu skąd dalej miał już na Wschód podążyć.

Kiedy pociąg gwizdnął, a on po raz ostatni w życiu rzucił okiem na strony, które przez tyle lat za swoje uważał, coś nakształt żalu ścisnęło mu serce; ale wnet go pokonał, wychylił się przez okno do stojącego na dworcu Idźka i rzekł:

— Na, Junge, leb wohl! Und bleib hier nicht zu lange... Die Heimat — ja, die polnische Heimat ist doch da!... ręką wskazał na daleki horyzont — und wir — dodał cichym, drżącym głosem — wir... jesteśma Polaki...

KTO?

Noc była ciemna; zadymka szalała na świecie; wiatr jęczał, huczał, zawodził, świstał, trząsł okiennicami i dworem całym. A we dworze, w obszernej hali, na staroświeckim kominie wesoły ogień płonął z trzaskiem, oświecając grono myśliwych, siedzących dokoła i swobodnie gwarzących o przygodach łowieckich. Rozmowa przechodziła zwolna z jednego tematu na drugi. Wreszcie poczęto mówić o przebytych w życiu chwilach tragicznych, zdarzeniach osobliwszych, wspomniano o zbrodniach, morderstwach, ba! nawet i o duchy potrącono; sypały się opowieści dreszczem zgrozy przeszywające słuchaczy; każdy silił się, by relacyą wypadków nadzwyczajnych z własnego lub cudzego zaczerpniętych doświadczenia, prześcignąć

poprzednika. Jeden gospodarz domu, szpakowaty szlachcic o jowialnej facyacie, przysłuchiwał się ogólnej gawędzie z zajęciem ale w milczeniu. Dopiero gdy każdy już wyczerpał zasób swych wspomnień i względna zapanowała cisza, któryś z obecnych zapytał:

— A ty, Stefanie, czemu w tym kącie siedzisz, jak sowa, i pary z ust nie puścisz? Na ciebie kolej zabawić gości.

W ten sposób zagadnięty, ruszył ramionami i dymem w sufit dmuchnął.

— Wolę wam się przysłuchiwać — rzekł — mnie się nigdy w całem życiu nic strasznego, ani nawet nadzwyczajnego nie zdarzyło, a łgać nie umiem — dodał jakby nawiasem.

Zabrzmiały głosy protestu i oburzenia:

— Oho! oho! czy to aluzya? do kogo?

Pan Stefan się rozśmiał.

— Żadna, żadna aluzya, do nikogo... proszę wierzyć. Gdzieżbym ja śmiał!... Chciałem jedynie własne milczenie usprawiedliwić...

— A obraziłeś nas wszystkich in gremio — rzekł gruby pan Michał, najbliższy jego sąsiad i Nemrod zawołany. — Za karę skazujemy cię na opowiadanie ciekawe, straszne a prawdziwe. Wymówki daremne!... Nolens volens, musisz gadać!

Pan Stefan poskrobał się w łysinę.

— To wam chyba opowiem przygodę moją z niedźwiedzicą.

— Znana, znana! krzyknięto chórem — prosimy o inną!

— Lub wyprawę na wściekłego wilka.

— Dziękujemy... Stare dzieje, panie bratku! Chcemy słyszeć dzisiaj coś dotąd ani razu nie słyszanego! Rozumiesz?

Pan Stefan zamyślił się głęboko, zasępił, potarł ręką czoło, wreszcie raz po raz puścił kłąb dymu w sufit i odchrząknąwszy, począł wolnym mówić głosem:

— Słuchajcie! Lat temu dwadzieścia z górą byłem obecny wypadkowi, który wówczas przeszedł bez rozgłosu, śladu po sobie nie zostawił, nie wzbudził w nikim żywego zajęcia, po dziś dzień jest i zawsze zostanie

tajemnicą pokryty, choć dla mnie wątpliwości nie ulega żadnej, iż wypadek ów był zbrodnią, niczem innem.

— Hm! hm! nie zła przedmowa — mruknął p. Michał, rozsiadając się wygodniej w fotelu i z uwagą nadstawiając ucha...

— Tak jest — ciągnął dalej pan Stefan — zbrodnią, która, jak tyle innych na ziemi, przez sąd ludzki ukaraną nie została, której świadkiem był jedynie Bóg, jako kiedyś sędzią jej będzie...

Rzecz się tak miała:

Przyjaciel mój i dawny kolega, Leon Sas, zaprosił mnie do siebie na rykowisko. Majątek jego położony był w górach Karpackich, tuż nad granicą węgierską. Nie wiem jaki tam dziś jest stan zwierzyny i jakie panują stosunki, ale wtedy jeleni multum się roiło — a kłusowników dopiero! Powiadam wam, bójki formalne rok w rok staczała straż leśna z tymi hultajami! bójki, w których rannych i zabitych nie brakło. Żywcem ująć którego z takich łotrów nie było sprawą łatwą już dla samej blizkości granicy — zre-

sztą przebiegłe to plemię, a chytre, zacięte, desperackie! Kulą w łeb! Jedyna to na nich rada — lecz i oni tą samą kierują się zasadą i na pierwszy strzał nie czekają nigdy! Rok właśnie przed moją wyprawą legło dwóch leśniczych w jednej z tych krwawych utarczek z ręki sławnego Hayos'a, Węgra rodem, którego tak ciekawe przygody opisał po niemiecku...

— Do rzeczy Stefanie, do rzeczy! — dał się słyszeć ostrzegawczy bas p. Michała.

— Wedle rozkazu — odparł Stefan. — Przygody po niemiecku możecie sami przeczytać, ja do rzeczy wracam. Otóż przyjechawszy do majątku Leona i ułożywszy z nim cały plan wycieczki, spakowaliśmy strzelby, naboi trzy razy tyle, ile nam było potrzeba, prowiantów zapas na tydzień i dnia 30 września do dnia, góralską podwodą wyruszyliśmy do Czortnicy. Tu dla jasności nadmieniam, że nazwę Czortnicy nosiła wysoka góra, na której znajdowała się leśniczówka — cel naszej podróży. Zaledwieśmy się w górę puścili, aż tu niebo, dotąd pogodne, pokryły

chmury, wiatr się ruszył, deszcz począł kropić... po godzinie lało. Mimo zapewnień Leona, że na rykowisko, słota, to czas idealny, straciłem humor. I nie dziw; ośmiomilowa jazda na twardym wózku pod stromą górę, po wązkich, ślizkich drożynach, i to wśród ulewy, nie należy z pewnością do ziemskich rozkoszy. Na dobitek pod koniec drogi pękł nam postronek. Nasz góral musiał piechotą do znanego mu szałasu zboczyć, by za pomocą pożyczonego sznurka jako tako uszkodzenie naprawić. Wypadek ten o dobre dwie godziny nasz przyjazd opóźnił i zupełnie już było ciemno, gdyśmy nareszcie, zmoknięci, zziębli i zgłodniali przed leśniczówką stanęli. Dwa psy przyjęły nas wściekłem ujadaniem — po chwili w oknie błysło światełko.

— Hej! Hryńko! A hej! otwórz-ta panu dziedzicowi! — krzyknął góral na całe gardło.

Drzwi skrzypnęły i na progu zarysowała się postać kobieca, trzymająca świecę w ręku.

— Hryńka niema? — spytał Leon.

— Niema — odrzekła cicho kobieta. — Myślał, że jaśni państwo dziś już nie przyjadą i do lasu przed godziną poszedł, ale może na noc powróci...

— Mniejsza o to... mniejsza o to. Na łowy mamy czas; teraz potrzeba nam tylko ognia do rozgrzania i suchego kąta do spania.

— Izba gotowa — odrzekła, wprowadzając nas do chaty, a ogień zaraz rozpalę.

Hryńko był od dawna o naszym przyjeździe uprzedzony; więc też — jak nam to oznajmiła kobieta — izbę zastaliśmy czysto wyprzątniętą. W pośrodku stał stół, obok ława, w kącie przysposobione były dwa tapczany, których sam widok ukoił mi nerwy i umysł rozweselił. Zrzuciwszy czemprędzej mokre nasze gunie, wzięliśmy się do rozpakowania rzeczy — a naprzód wiktuałów. Kobieta tymczasem nałożyła drzewa w komin i na klęczkach rozpalać je zaczęła. Płomień buchnął niebawem, oświecając w półcieniu dotąd pogrążony pokój.

— A zgotujcie nam też trochę wody — rzekłem, dobywając z kosza flaszkę araku. Napijemy się herbaty.

— Zaraz, proszę Jaśnie Pana — odrzekła swoim cichym, dźwięcznym głosem, zwracając lekko głowę ku mnie.

Po raz pierwszy spojrzałem na nią uważnie i o mało co flaszka z rąk mi nie wypadła. Wielki Boże! Jakaż śliczna mi się wydała — śliczna młodością, urokiem oblicza, wyrazem twarzy, ruchem całej klęczącej postaci na pół w tył przegiętej, a tak cudownie w tej chwili jaskrawym oświeconej płomieniem.

— Wy Hryńka żona? — spytałem.

— Tak... żona — odrzekła z rodzajem wahania, czy wstydu w głosie i dorzuciwszy chrustu w ogień, opuściła izbę.

— A do dyabła, mój Leonie — krzyknąłem po jej odejściu — to mi niespodzianka dopiero! (Panowie pamiętajcie... byłem wówczas bardzo młody jeszcze). Na szczycie gór, w głębi lasów takie cudo natury spotkać!... Taż to szczęśliwy śmiertelnik ten twój Hryńko!

Leon się uśmiechnął.

— Tylko ty się zanadto nie zapalaj, Stefanie. Ostrożnie, radzę. Ostrożnie z Hryńkiem! Z nim niema żartów.

— Cóż to za człowiek?

— Stary, niebezpieczny niedźwiedź, poprostu.

— Stary, mówisz? Stary — powtórzyłem z niedowierzaniem. — Jej mąż, a stary?

— Nie inaczej — odparł Leon, widocznie rozbawiony mojem uniesieniem. — Hryńko jest u mnie w służbie już przeszło dziesięć lat; tęgi z niego leśniczy, a myśliwy jakich mało! Służbę pełni wzorowo, kłusownikom daje się nieraz we znaki — to też boją się go więcej, niż całej reszty straży leśnej i żandarmeryi razem wziętej; przez długie lata żył sam jeden na Czortnicy — przed rokiem dopiero, jak mi mówiono, sprowadziła się tu do niego ta kobieta, to cudo natury, według twego wyrażenia, którą zwie „żoną“, chociaż — powtarzam, co złe języki twierdzą — nikt nigdy podobno nie widział ich aktu ślubnego.

— A skąd też ona pochodzi? Jak się nazywa?

— Za wiele ode mnie żądasz objaśnień, zapytaj ją samą.

Rozmowa nasza przerwaną została jej powrotem. Przynosiła garnek z wodą i misę ziemniaków; poczęła krzątać się wkoło nas, stół do wieczerzy nakrywając. Patrzałem na nią z nietajonym i wzrastającym zachwytem; każde jej poruszenie, każde spojrzenie w coraz to większy wprawiało mnie podziw.

Nagle na dworze pies zaskomlił, a ona od razu na ten odgłos drgnęła tak gwałtownie, że aż dzban na stole zabrzęczał i wzrok błędny, przerażony wlepiła w okno, zdając się nadsłuchiwać.

— Boi się — pomyślałem zdziwiony — to jej drżenie, ta cała postawa zdradzają trwogę śmiertelną; ona się czegoś boi okropnie, ale czego?

Już mi pytanie na ustach zawisło, gdy wtem pies po raz wtóry zaskomlił radośnie.

— To Hryńko — rzekła swym cichym, dźwięcznym głosem, w którym nie przebijała

ni radość, ni wzruszenie, i wyszła na spotkanie męża.

W przedsionku ciężki krok dał się słyszeć, wymiana kilku słów i leśniczy w drzwiach się ukazał.

Olbrzym to był i olbrzym straszny. Liczyć mógł 50 lat z górą, włos siwy w nieładzie spadał na nizkie czoło, pionową przeszyte bruzdą, oczy czarne, głęboko osadzone, przenikliwie a zarazem podejrzliwie spoglądały, wąs zawiesisty na wpół tylko zakrywał wargi grube, o wyrazie zwierzęcym, a mocno rozwinięta szczęka wyraz ten jeszcze potęgowała. W całym człowieku przebijała jakaś dzikość.

Skłonił się nizko przed Leonem, tłómacząc swoją nieobecność.

— Bo to, proszę Jaśnie Pana, te sobaki przeklęte — rzekł w drodze objaśnienia — właśnie takie noce wybierać lubieją na swoje zasiadki, a jeleni moc tego roku, upilnować trudno; nie dalej, jak pół mili stąd, na Jaworzysku, ryczą trzy co rana. Tamby jutro trza się panom zastawić.

— Co do mnie — rzekłem pospiesznie, spoglądając na wchodzącą właśnie Hryńkową — jutro się pewno nigdzie nie ruszę. Po tej jeździe wolę jeden dzień wypocząć.

Hryńko ku żonie się zwrócił:

— Czego tu łazisz? — mruknął opryskliwie — pilnuj własnej roboty... ja panów obsłużę.

— A cóż wy tak swoją żonę burczycie? wtrąciłem żartem — gdybym ci ja miał taką ładną i młodą, inaczejbym do niej gadał!

Stary spojrzał na mnie z podełba, oczy mu się zaiskrzyły.

— Słyszałaś Jaryna?.. Ruszaj stąd! — powtórzył z cicha, a cztery te słowa w ustach jego jak groźba zabrzmiały; kobieta się posłusznie z izby wysunęła.

Leon żywo zagadnął leśniczego o stan zwierzyny, wspomniał o jakimś sporze granicznym, o tem i owem, by zatrzeć niemiłe wrażenie, odniesione z owego krótkiego zajścia. Ja zaś ani słowa z ich całej rozmowy nie słyszałem, nawet się słyszeć nie starałem; myśl moja leciała bezustannie do przyległej

komory, skąd mnie lekki szmer dochodził i powtarzałem w duchu:

— To ona... Jaryna, tam obok się porusza... śliczna Jaryna!... kochanka Hryńka...

I patrzałem na Hryńka, na jego postać dziką, oblicze rubaszne, ponure, ruchy ociężałe i mimo woli zadawałem sobie pytanie: jakie uczucie mogło też przykuć ją, ow świeży, cudny kwiat, do jego boku? Związać losy tej wiosny z losami tej zimy?... Miłość?... Chyba nie! Tajemnica osłaniająca dzieje tych dwojga tak niedobranych ludzi zaciekawiła mnie do tego stopnia, iż postanowiłem skorzystać z dnia następnego, aby z Hryńkową bliższą zawrzeć znajomość i prawdy się dowiedzieć. Zamiar mój atoli spełzł na niczem. Nazajutrz bowiem zostałem wprawdzie sam w leśniczówce, wyprawiwszy Leona z Hryńkiem do lasu, mimo to jednak zaledwie kilka słów z Jaryną wymienić zdołałem. Unikała mnie, a wprost zagadnięta, zbywała odpowiedziami z rodzajem widocznej niechęci udzielanemi. Chcąc nie chcąc „uciechą oczu“ zadowolnić się musiałem, ale platoni-

cznej tej rozkoszy nie odmówiłem sobie ani poskąpiłem. Od rana do wieczora wzrok mój gonił, śledził Jarynę, krzątającą się około swego gospodarstwa, coraz to nowe w niej odkrywając piękności, boć dalibóg, w tej istocie wszystko cudne było! I rysy jakby w kamieniu wykute, i włos rudawozłoty, i ciemne, długie oczy o rzadko, nieśmiało podnoszących się powiekach, i brwi jak dwa łuki, i wargi na wpół rozchylone, i kibić i chód i głos. Ot, naprożnobym się silił opisać ją wiernie! Niech wam starczy wiedzieć, żem głowę najzupełniej stracił, nawet do łowów chęć mnie opuściła! I gdy Leon dnia trzeciego w nocy mnie obudził, aby wraz z nim na rykowisko wyruszyć, chętnie, ach! jakże chętnie byłbym się wymówił!...

Nie będę tu szczegółowo opowiadał przygód tego pierwszego naszego pochodu nocą w las; każdy z was nieraz w życiu podobne przebywał — przystępuję od razu do najgłówniejszej. Stanowiska nasze, t. j. Leona i moje, przez Hryńka oczywiście wybrane,

położone były na dwóch szczytach Jaworzyska i Czortnicy, mniej więcej sobie równoległych, a przedzielonych lesistą doliną. — Hryńko, każdego z nas na swoje miejsce zaprowadziwszy, sam się oddalił.

Ranek, a raczej noc, była tak ciemna, że początkowo zgoła nic przed sobą rozróżnić nie mógłem. Położyłem się jak długi, w gunię owinięty, u stóp wysokiego buku. Deszcz rosił, zimno było przenikliwe, powieki raz po raz mi się kleiły, z snem walczyć musiałem. Minęła godzina, może dwie.

Zwolna, zwolna wkoło mnie szarzeć poczęło; niebo gdzieś hen od jednej strony przybrało jakiś odcień jaśniejszy, w dali zarysowały się najpierw słabo, potem coraz wyraźniej kontury drzew, na prawo zaczernił się głęboki parów, na lewo zabieliła ściana skalistej góry, gdzieniegdzie rzadkiemi pokryta haszczami. — Wytężyłem wzrok i słuch.

Nagle w parowie rozległ się potężny, straszny ryk jelenia...

Serce mi gwałtownie zabiło — dech zaparłem, przez długą chwilę ruszyć ni ręką

ni nogą nie śmiałem... Ryk powtórzył się raz, drugi, trzeci, dziesiąty — gniewny, przeciągły, dreszczem przeszywający — to zbliżał się, to znów oddalać zdawał...

Ostrożnie — powoli — krok za krokiem, na wpół się czołgając, a co krok przystając, począłem króla lasów za głosem podchodzić... Kilka stóp już zaledwie dzieliło mnie od krawędzi parowu, w którym ujrzeć się go spodziewałem, gdy wtem, gdzieś w nieznacznej odległości, a w kierunku Czortnicy, padł strzał!

Jeleń przestał ryczeć — usłyszałem tuż pod sobą trzask łamanych gałęzi i pod spłoszonym, umykającym zwierzem ziemia zadudniła!...

Zrobiłem wtedy to, co każdy z was byłby na mojem miejscu zrobił: Z głębi duszy zakląłem na Leona!... Łowy były na ten dzień dla mnie skończone.

— Polowanie moje mi zepsuł, a sam pewno spudłował! myślałem, spuszczając się po ślizkiej ścieżynie, na której ślady stóp moich i Hryńka widoczne jeszcze były.

— Bodajby go! bodajby go!

I sypały się z ust moich niechrześcijańskie życzenia. — Uszedłem jakie pięćset kroków może, gdy Leon in persona zjawił się, szybko ku mnie dążący.

— Cóż? Jest? — spytał z daleka.

— Kto, czy jest? Jeleń?! Albo jawiem!... Postrzeliłeś go, co?

— Przecież ja nie strzelałem — odparł — tylko ty. — Oczy szeroko rozwarłem.

— Ja? Możesz mój sztuciec obejrzeć...

— Więc do kroćset dyabłów, kto strzelił? Kto tu śmiał strzelić?! — zawołał gniewnie Leon — chyba jeden z tych łotrów przeklętych... Ha! żeby go tak na gorącym złapać uczynku!... Zabitego jelenia usunąć, nie tak łatwa sprawa... Dalej Stefanie! Zróbmy obławę... A dalibóg, jeżeli szelmę dostaniemy... Ruchem zdanie dokończył. — Nie potrzebowałem zachęty. Tak Leonowi jak mnie, obu na górze stojącym, zdawało się było, iż strzał padł niżej od nas, w dolinie. Skierowaliśmy zatem nasze poszukiwania w stronę gęsto zarośniętej, względnej płaszczyzny, przedzie-

lającej Czortnicę od Jaworzyska. Świt tymczasem był się w jasny dzień zamienił, deszcz ustał, słońce się z za chmur wychyliło... Postępowaliśmy przezornie, w równej linii, z bronią odwiedzioną, rozgarniając wysokie trawy, badawczym mierząc wzrokiem zarośla i gąszcze... Wtem Leon krzyknął:

— Stefan! do mnie!

Głos jego zabrzmiał dziwnie zmieniony. Podskoczyłem co tchu ku niemu, a widok, który się oczom moim przedstawił, ściął mi krew w żyłach...

U nóg Leona, pod leszczynowym krzakiem, leżał na twarzy rozciągnięty, nieruchomy człowiek. Jedną rękę miał pod sobą zgiętą — w drugiej, kurczowo ściskał kij sękaty; barania czapka z głowy mu się zsunęła w trawę.

— Spojrzeliśmy na siebie z przerażeniem.

— Trup! — wyszepnąłem wreszcie.

— Leon oparł strzelbę o drzewo i ukląkł.

— Pomóż mi... może jeszcze żyje...

Przewróciliśmy go na wznak — głowa mu bezwładnie z ramienia na ramię opadła; na

serdaku po lewej stronie zobaczyłem okrągłą dziurkę, z której krew sączyła... Rozerwaliśmy serdak, rozdarli koszulę — pierś była kulą przeszyta dwa cale pod sercem.

— Kaliber 12 — rzekł Leon, wskazając na ranę — biedak lekką miał śmierć... Kłusownik czy nie kłusownik, żal mi go... — dodał po chwili.

Ja mówić nie mogłem; widok trupa zawsze mi był i jest wstrętny; ten zaś, przez nas odkryty, spotęgowaną napełniał mnie zgrozą, a jednak wzroku od niego oderwać nie mogłem. Patrzałem milcząco, usiłując tajemnicę jego zgonu odgadnąć. Kim był? Z czyjej legł ręki?... W twarzy jego, oszpeconej bielmem na prawem oku, rysował się jakiś wyraz dzikiej zaciętości, czy nienawiści, jakby w ostatniej chwili, ostatniem wejrzeniem był mierzył wroga swego.

— Może go Hryńko pozna — rzekłem — może nas objaśni.

— Może — odrzekł Leon i przyłożywszy ręce do ust, na całe gardło na Hryńka za-

krzyknął. Echo mu tylko odpowiedziało; powtórzył próbę, ale bezskutecznie.

— Hryńko z tamtej strony Czortnicy — nie usłyszy...

— Więc co zrobimy? — spytałem.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak powrócić do leśniczówki, a stamtąd bezzwłocznie udać się do Rostoki, aby zawiadomić władze o całem zdarzeniu — niech śledztwo zarządzą.

— Masz słuszność, a dla spokoju i uniknięcia podejrzeń — dodałem — zabierzemy z sobą nasze sztucery.

Naznaczywszy dokładnie kilku złamanemi gałęziami miejsce strasznego odkrycia, oddaliliśmy się spiesznie ku chacie leśniczego. W chacie zastaliśmy Hryńkową samą, zajętą skrobaniem ziemniaków w kuchni. Wydała się zdziwioną naszym wczesnym powrotem, więc podczas gdy Leon pobiegł do stajni, aby odszukać górala i wyjazd przyspieszyć, opowiedziałem jej w krótkości całe zajście. Wysłuchała mnie w obojętnem milczeniu, dopiero gdy począłem zabitego opisywać i nad-

mieniłem kalectwo jego — bielmo na prawem oku — twarz jej od razu się zmieniła, zbladła jako śnieg, pierś jej gwałtownie zafalowała, drżące ręce wypuściły nóż, a błędne, przerażone oczy wlepiła we mnie...

— Co wam jest? zapytałem zdziwiony.

Chciała mówić, głos zamarł jej w piersi. Wreszcie szepnęła, a raczej wyjęknęła:

— Hryńko... O Jezu!... — nic więcej.

— Hryńko o niczem dotąd nie wie — rzekłem uspakajająco, zbliżając się do niej. — Napróżnośmy go wołali... lada chwila pewno powróci, ale nas już nie zastanie... Musicie mu wszystko opowiedzieć... Czemu się tak trzęsiecie? Czemu się trzęsiesz... Jaryna?...

Dała znak głową, aby ją zostawić i do przyległej komory uciekła.

Nie doczekawszy się przyjścia Hryńka, puściliśmy się w drogę do Rostoki, mieściny o trzy mile od leśniczówki odległej; tam w żandarmeryi wysłuchano relacyi naszej uważnie i dwóch żandarmów natychmiast się drugą podwodą zabrało, aby nam na

miejsce zabójstwa towarzyszyć. Około południa znaleźliśmy się znów na Czortnicy.

— Musimy kawałek iść pieszo, rzekł Leon, ja poprowadzę.

Opuściwszy wózki, wszyscy czterej wraz z góralami wyruszyliśmy na szczyt góry. Tu Leon pokazał ranne swoje stanowisko, poczem cały pochód w dolinę się puścił.

— Oto miejsce — wyrzekliśmy obaj razem, wskazując na znaki przez nas uczynione — leży pod tym tam leszczynowym krzakiem.

Zbliżyliśmy się i stanęliśmy jak wryci, przecierając oczy. Trawa świeżo zdeptana, połamane gałęzie, na ziemi kilka listków na wpół uschłą krwią zbroczonych, nawet kij sękaty na bok odrzucony świadczyły o prawdziwości naszego zdarzenia, lecz trupa nie było ani śladu...

— Przecie nam się nie śniło — zawołał Leon — ludzie! proszę się przypatrzyć... tu, tu w tem miejscu leżał, tu, tędy wlec go musiano... Szukajcie chłopcy do koła!

Żandarm pochylił się, przypatrzył i głową z uśmiechem pokiwał.

— Pewnoście panowie byli swem odkryciem mocno wzruszeni, a w wzruszeniu łatwo wziąć żywego za nieboszczyka.

— Przysiądz jestem gotów — rzekłem — że człowiek tu dziś rano znaleziony był zabity, palce miał już sztywne, oko szkliste.

— A jednak — zauważył żandarm z swym ironicznym uśmiechem — uciec zdołał.

— Czyż nie jest prawdopodobniejszem, iż został usunięty przez swych towarzyszów na przykład lub... lub nawet przez mordercę?

— Możliwe i to, ale w takim razie wieść o zniknięciu raubszyca, bo nie ulega zdaniem mojem wątpliwości, że to był raubszyc, czy z tej, czy z tamtej strony granicy, ukryć się długo nie da. Zarządzimy śledztwo w swoim czasie, a wtedy pozwolimy sobie panów na świadków zawezwać. Założyłbym się swoją drogą grubo — dodał nawiasem — że ten psia jucha nieboszczyk się z swej rany wyliże i tej jesieni jeszcze niejednego jelenia na Czortnicy sprzątnie.

Górale wrócili z obławy, nic nie odkrywszy. Cóż było robić. Pożegnaliśmy żandar-

mów, a Leon rzekł do mnie, wzruszając ramionami: — Jak na teraz, dysputa z nimi daremna, przyszłość pewno sprawę wyjaśni. My chyba, Stefanie, wiemy, że dla tego nieboraka polowanie na wieki zamknięte.

Skierowaliśmy w milczeniu kroki ku leśniczówce. Hryńko oczekiwał nas na progu chaty; wiedział oczywiście o wszystkiem, ale całe zdarzenie zdawało się go mało obchodzić.

Jakąś wzmiankę Leona o zabitym przyjął stoiczną uwagą:

— Nie pierwszy, nie ostatni.

Zapytany, czy nie znał w okolicy jednookiego kłusownika, odrzekł:

— Nie, nie znałem i o żadnym takim nie wiem.

— A strzał czyście słyszeli? — zapytałem.

— Słyszałem — i po namyśle dodał — chociaż byłem daleko, bardzo daleko, z drugiej strony Czortnicy. . . . .

. . . .

I oto koniec mojego opowiadania... Przyszłość sprawy nie wyjaśniła i nie wyjaśni... Nigdy, nigdy nic więcej nie dowie-

dzieliśmy się o całem tem tajemniczem zajściu... policya nie wykryła nic, ni zbójcy, ni zabitego, ni śladu po nim... Żaden z mieszkańców okolicznych nie zaginął, a żandarm do końca życia pewno pozostał w mniemaniu, że „psia jucha nieboszczyk się wylizał“...

Leon i ja długo jeszcze nie mogliśmy się otrząść z odniesionego wrażenia, więc skróciwszy pobyt nasz w Czortnickiej leśniczówce, przenieśliśmy się w inne strony na rykowisko. Nie od rzeczy przecie będzie nadmienić, że wtedy to zabiłem tego dwudziestaka, którego rogi przed wami wiszą... olbrzym, nieprawda?... Często, często późniejszymi czasy wspominaliśmy z Leonem ową dziwną naszą przygodę myśliwską, różne wyciągając z niej wnioski, różne robiąc przypuszczenia, a zawsze to samo stawiając sobie pytanie: Kto był zabity? kto jego mordercą? Co do mnie, wiem tylko, że sztuciec Hryńka był kalibru 12 i zauważyłem, że do chwili naszego wyjazdu, śliczna Jaryna w stanie ciągłej trwogi żyć się zdawała, chodziła wokoło nas, jak nieprzytomna, cała blada, drżąca,

raz po raz się szybkim ruchem po za siebie oglądając, z szeroko rozwartemi, błędnemi oczyma, jakby w obawie ujrzenia widma...

Pan Stefan umilkł.

Któryś z słuchaczy spytał:

— Co się też z nią stało?

I to pytanie zostało bez odpowiedzi.

ZNAK

Każdy szczegół tego wieczora wyrył się na zawsze w mojej pamięci — a jednak, wszystkie razem wzięte, jakże powszednie, jakże błahe były!...

Towarzystwo nasze, składające się z samych dobrych znajomych, dwóch pań i trzech panów, siedziało, jak zwykle o tej godzinie, przed kolumnadą w Kissingen. Dzień wyjątkowo skwarny, czynił tem powabniejsze godziny wieczorne i z niemi nastający względny chłód. Doskonała muzyka przygrywała, — fontanny biły w górę i pluskiem opadającej wody przyjemnie słuch łechtały, — oko spoczywało z upodobaniem na wzorowo utrzymanych trawnikach i okalających je wonnych roślinach, wesoła, elegancka, różnobarwna publiczność, wśród której ciężko chorych ani śladu nie było, przechadzała się tam i na-

powrót; — to niebo jasne i ta ziemia jasna tworzyły ładny obrazek dla oka a dla duszy jedną z tych chwil, której wspomnienie do miłych należy.

Wtem, na głównej alei ukazała się Joanna.

Nie wiem do jakiego egzotycznego kwiatu, drogiego klejnotu lub nadziemskiego zjawiska byłby ją jaki poeta porównał; co do mnie, nie chcąc być o przesadę posądzona, powiem tylko, że była po prostu czarującą. Piękność i młodość biły wprost od niej, jak promień od słońca lub zapach od róży.

Wszystkie oczy od razu zwróciły się ku niej.

Szła wolno, w stronę naszą, swym kołyszącym krokiem, z głową nieco spuszczoną, zamyślona, nie zwracając najmniejszej uwagi na oznaki podziwu, które każdemu jej ruchowi towarzyszyły.

Mężczyźni na jej widok powstali a pan Henryk, który się sam mianem starego grzesznika obdarzył, postąpił na jej spotkanie i już z daleka złożył jej ukłon, godny markiza XVIII wieku.

— Joanno! — zawołałam — jakże późno przychodzisz! Czy wiesz, która to jest godzina?

— Ach wiem! odrzekła z wyrazem znużenia siadając przy naszym stoliku — i stokrotnie wszystkich przepraszam... Myślałam — spodziewałam się nawet, żeście beze mnie poszli na przechadzkę...

Pan Henryk się natychmiast oburzył:

— Bez pani! Takie to pani o nas ma wyobrażenie? Czyż pani nie wiadomo, że przechadzka bez niej...

— Nie miałaby celu! Udaćby się nie mogła! — przerwała Joanna, śmiejąc się z przymusem. — Wszak to pan chciałeś powiedzieć?... Powinnam była o tem pamiętać... Tem bardziej mi przykro, że wam zawód zrobiłam...

— A cóż cię do tego spowodowało? — spytałam. — Wytłómacz się, uniewinnij przynajmniej!

— Wzruszycie ramionami, wiem z góry... przyczyną mego opóźnienia był: rozstrój nerwowy... doktór, który był u mnie po obie-

dzie, może przyświadczyć prawdziwości twierdzenia.

— Co? Znowu serce dokuczało? — odezwało się kilka głosów z politowaniem.

— Okropnie!... Miałam całe serye palpitacyi, a nerwy! biedne moje nerwy są jak struny, naprężone, rozstrojone...

— To dziwne! Wczoraj była pani całkiem zdrowa...

— Tak... wczoraj...

— Proponuję pójść do teatru — zawołał pan S. — grają Coralie et Comp. Na nerwy niema lepszego lekarstwa jak śmiech, a uśmiejemy się do rozpuku.

— Zgoda! — odpowiedziałam. — Właśnie przed chwilą miałam list z domu, od dziesięciu dni deszcz leje bez przerwy — pszenica porasta — czerwonka wybuchła śród trzody chlewnej — klacz wierzchowa mego meża okulała — pieniędzy dostać przed przyszłym tygodniem nie mogę — więc: chodźmy się śmiać!...

Ale Joanna potrzęsła głową:

— Idźcie, jeżeli chcecie... Darujcie! Ja doprawdy nie jestem w stanie... Śmiech u mnie zarazby się w płacz zamienił...

I rzeczywiście głos jej zadrgał złowrogo.

— Jeżeli tak, to zostanę z tobą — odrzekłam. — Nie dbam o teatr — będziemy płakać razem.

— I ja z paniami do wtóru — dodał poczciwy p. Henryk; aleśmy obie energicznie zaprotestowały i po krótkich naradach i ceremoniach wszyscy nas pożegnali.

Zostałyśmy same.

— No Janko — rzekłam, przysuwając się do niej — teraz musisz mi się wyspowiadać... Cóż ci tam te nerwy tak rozkołatało?

— Powiem ci wszystko — odrzekła — ale wpierw mi obiecaj, że sobie ze mnie drwić nie będziesz...

— Obiecuję uroczyście...

— A więc słuchaj... Zaspałam dziś trochę i spóźniłam się na wody: już ani ciebie ani tych panów przy źródle nie zastałam... Przechadzałam się zwykłą moją aleją, t. j. wzdłuż kolumnady i wkoło kwieciarek, gdy wtem

ujrzałam zbliżającego się ku mnie — nieznanego całkiem mężczyznę... ach! Paulino! powiadam ci... potwora!...

Joanna przerażone wejrzenie rzuciła na wszystkie strony.

— Był to pewno jakiś nowo przybyły, ciężko chory nieborak... — rzekłam gładząc jej drżącą rękę.

— Nie, nie!... Nie rozumiesz mnie! To nie piętno choroby czyniło go tak strasznym... to całkiem co innego... Jakby ci wytłomaczyć? On robił wrażenie widma... Człowieka-trupa... Oczy głęboko osadzone, z daleka zwłaszcza zdawały się być pustemi jamami ocznemi — podobieństwo potęgował nos płaski o ogromnie rozwartych nozdrżach, usta bez warg, śród których bielały dwa rzędy w wstrętnym, ohydnym uśmiechu wyszczerzonych zębów i cera żółto-zielonawa... trupia..

— Uspokój się Janko...

— Patrzałam na niego, zahipnotyzowana, zdaje mi się, żem stanęła jak wryta... nogi odmówiły mi posłuszeństwa... On tymczasem zbliżał się ku mnie wolno, wolno, nie spu-

szczając mnie z oka... W chwili, kiedy mnie mijał, wzrok jego przybrał wyraz tak dziwny... opisać nie mogę... a ten straszny, złowrogi uśmiech zarysował się na jego potwornej twarzy jeszcze wyraźniej... jakby na widok dobrej znajomej...

— To już czysta imaginacya!...

— Tak — zapewne... Skądżeby mnie miał znać, kiedy ja go po raz pierwszy w życiu widziałam? Ale trudno!... Spotkawszy ten jego wzrok w siebie utkwiony, uczułam niby prąd elektryczny, który mnie przeszył od mózgu do serca — dreszcz obrzydzenia mną wstrząsnął... A to uczucie zamieniło się od razu w lęk. W bezgraniczny, szalony lęk!... O Paulino! Ten człowiek-trup — to jest widmo śmierci... śmierci, która jego wzrokiem i jego uśmiechem przemówiła do mnie: „Tyś moja!“...

Na te słowa zerwałam się na równe nogi:

— „Joanno! tego już za wiele! To już istna gorączka... maligna!... Chodź do domu, połóż się — uspokój... Cóżby twój mąż powiedział, gdyby słyszał podobne szaleństwa, pa-

dające z ust swej Janki — swej pustej, wesołej Janki!“...

Janka wstała i oczy jej łzami się napełniły:

— Wiedziałam — szepnęła — że mi nie dasz wiary... Żałuję, żem ci się zwierzyła...

— Nie żałuj, droga moja! Święcie wierzę, żeś spotkała jakiegoś arcyszpetnego kuracyusza, którego widok dał ci na nerwy, ale przecie... Miejże odrobinę rozsądku! Ten pan to nie żadne widmo! To człowiek z krwi i kości! Pokażesz mi go jutro, jeżeli go spotkamy — a jeżeli go, co daj Boże! nie spotkamy, tem ci lepiej! Za kilka dni o nim zapomnisz; — chodź teraz do domu!...

Joanna posłusznie wsparła się na podanem jej przeze mnie ramieniu i skierowałyśmy się ku willi Diana; wolno postępując, starałam się wszelkimi sposobami wybić jej z głowy co uważałam za jakiś chorobliwy wybryk imaginacyi.

Znałam ją od dawna; wiedziałam, że była usposobienia wrażliwego i że cierpienie sercowe wrażliwość tę jeszcze potęgowało. Doktor mnie jednak wielokrotnie zapewniał, że

cierpienie jej spowodowane zwykłą anemią, żadnych poważnych symptomów nie kryje. Widząc ją teraz tak wzburzoną, usiłowałam myślom jej nieznacznie nadać odmienny kierunek. Więc poruszywszy temat wrodzonych sympatyi i antypatyi, dowodziłam, że są one niczem nieuzasadnione, a raczej często bardzo, jeżeli nie zawsze, od czysto fizycznych względów zależne.

Przechodziłyśmy właśnie główny most na Sali, co chwila wymijając przechodniów powracających z wycieczek lub spieszących na kolacyę. Joanna słuchała mnie z roztargnieniem, kiedy niekiedy tylko pół słówkiem coś odpowiadając — gdy nagle drgnęła i stłumionym głosem wyjąknęła:

— „On jest za mną... czuję go..."

— „Janko — przerwałam — bo się doprawdy pogniewam!..."

Nie odrzekła nic, tylko spazmatycznym ruchem przytuliła się do mnie i zawisła mi na ramieniu.

— W tej chwili — samym środkiem mostu, przeszedł wolno, wysoki, chudy, przy-

garbiony mężczyzna i minął nas. Nie byłam zdolna dojrzeć wyraźnie rysów jego twarzy, bo więcej Joanną jak nim byłam zajętą; pamiętam jednak, że gdy przez ćwierć sekundy zwrócił głowę w naszą stronę, słowo Joanny „człowiek-trup“ mimo woli zabrzmiał mi w uszach... Dreszcz wstrętu i obrzydzenia do szpiku kości mnie przeszył.

— „No Janko! Janeczko! Dla Boga!... Zmiłuj się! Już przeszedł... już się oddala... przecież mi tu na ulicy nie zemdlejesz?...“ pytałam trwożnie, zaglądając w blade, błędne lica mojej towarzyszki.

— „Nie — nie zemdleję“ — rzekła wreszcie. — „Lepiej mi... nie gniewej się na mnie, Paulino — I cóż? Widziałaś go?...“

— „Bardzo pobieżnie... Nawet bym go nie poznała — ale doprawdy, Joanno, jeżeli w ten sposób się będziesz zachowywać za każdym razem, gdy ów nieznajomy przejdzie tą samą co Ty ulicą, to już wolę się wyrzec twego towarzystwa...“

— „Nie gniewaj się, proszę!...“ powtórzyła Joanna, podnosząc ku mnie pokornie swoje

czarujące oczy — „czyż to moja wina, że on we mnie taki bezdenny, szalony strach budzi?... Musiałaś przecież zauważyć, że ja jego obecność — jego blizkość poczułam, zanim go ujrzałam?...“

Na te słowa Joanny nie znalazłam odpowiedzi; tak jest — ten dziwny objaw jej wrażliwości nie był uszedł mojej uwadze, a w sercu mojem wzbudził coś nakształt niepokoju.

. . . .

Kilka dni minęło od tego wieczora; przygoda Joanny ogólnie była już znana i tworzyła temat niewyczerpany rozmów i przypuszczeń. Wszyscy mniej więcej kładli ją na karb nerwów kobiecych, co jednak nie przeszkadzało, że całe grono naszych znajomych codzień nawzajem się witało pytaniem: „I cóż?... Nie widziałeś gdzie człowieka-trupa?“ — Dziwnym rzeczywiście trafem, nikt nie był w stanie potwierdzającej dać odpowiedzi.

Doktór, mocno zdziwiony nagłem pogorszeniem zdrowia swej pacyentki, zwłaszcza akcyą serca, odwiedzał ją troskliwie po kilka

razy dziennie, badał, opukiwał i zalecał spokój oraz rozerwanie myśli. Więc posłuszni tym jego zalecaniom odwiedzaliśmy ją o każdej godzinie, to wspólnie, to kolejno — ten jej przynosił wiązkę zajmujących nowinek, ów snopek kwiatów; ja jej głośno czytywałam — p. Henryk cały swój tryskający dowcip wysilał, aby przywołać uśmiech na jej śliczne usta — p. S. patrzał w nią tylko jak w tęczę i wzdychał... Czasem, gdy się zdrowszą czuła, zabieraliśmy ją na dalekie przejażdżki w góry lub na inne nadarzające się rozrywki.

Z doktorem często o jej stanie mówiłam — pytałam co o nim myśli — czy nie wznieca w nim obawy?

— Najmniejszej — odpowiadał stanowczo. — Chciałbym mieć samych takich pacyentów!... Oczywiście, gdyby serce nie miało się uspokoić — ale o tem ani mowy niema! Musi się uspokoić; za dwa, trzy dni pani Joanna z pewnością odzyska swą równowagę...

— A cóż też doktór sądzisz o przyczynie tego zajścia? O powodzie choroby?... Pozo-

staje przecież faktem, że sama, nawet naocznie nie stwierdzona blizkość tego nieznajomego wystarcza, aby ją do głębi wstrząsnąć — niemal przytomności pozbawić...

— Doktór się zamyślił.

— Pani — rzekł po chwili — tak jak w przyrodzie, są i w naturze ludzkiej prądy dziwne — siły tajemnicze a straszne, których istnienia człowiek zaledwie się domyśla... o wytłómaczeniu ich i znaczeniu choćby przypuszczalnem ani śni...

— Więc doktór wierzysz, że w tym człowieku-trupie, czy też w jego wejrzeniu tkwi taka tajemnicza, bezwiedna siła, której Joanna podlega?

— Trudne pytanie — rzekł doktór, chwytając za kapelusz — za sto lat może mógłbym pani dać kategoryczną odpowiedź. Jak na teraz, nie dam żadnej, bo czas mój drogi, a chorzy czekają... Powiem tylko, że najszybciejby się uspokoiły nerwy p. Joanny, gdyby nam się udało wywiedzieć, kto jest ów „człowiek-trup“ i jasno wykazać, że w »Kurliście« stoi zapisany pod mniej zagadkowem mianem...

Pożegnałam doktora, zapewniwszy go, że tak ja, jak i moi znajomi wszelkich starań dołożymy, aby do tego upragnionego doprowadzić rezultatu.

Sposobność nadarzyła się niebawem.

Tego samego dnia jeszcze, Joanna czuła się o tyle lepiej, że postanowiłyśmy pójść w towarzystwie naszego nieodstępnego p. Henryka na 6 Symfonię Bethovena.

Zamiar, zaledwie powzięty, został wykonany.

Obszerna sala była wyjątkowo pusta, może skutkiem równocześnie danego przedstawienia kinomatografu w Kasynie, a może i dlatego, że na tego rodzaju koncerta uczęszczają tylko prawdziwi miłośnicy klasycznej muzyki, których na świecie jest nie wielu. Joanna się do nich zaliczała.

Gdyśmy weszli, koncert już był zaczęty; zdążając na nasze miejsca, mimochodem zauważyłam, że trzy rzędy krzeseł za nami były zupełnie nieobsadzone.

Orkiestra, kierowana przez sławnego dyrektora S. z Würzburga, mogła i najwybre-

dniejszych znawców zadowolić; nas zaś, t. j. p. Henryka i mnie, tem bardziej zadawalała, żeśmy profanami byli; chodziło nam jedynie o zabawę Joanny, a widzieliśmy, że się całą duszą bawi.

Z żywą radością patrzałam na jej śliczną, skupioną twarzyczkę, oczy promienne, wyraz cały wsłuchany... Zaczęto właśnie czwarty kawałek programu... Przymknęła powieki, lekko głową takt znacząc, rozkoszując się boską harmonią...

Nagle, bez żadnej wiadomej przyczyny, drgnęła, okropna bladość pokryła jej lica — rozszerzone, przerażone źrenice wlepiła we mnie, drżącemi przytem szepcąc wargami:

— Czuję go... On jest za mną...

Niby przypadkowo, od niechcenia, obejrzałam się. Mówiła prawdę.

W drugim rzędzie, przedtem pustym, siedział teraz nasz nieznajomy; siedział z głową wspartą na ręku, pochylony, nieruchomy... czoło niezmiernie wysokie, żółte, gładkie o zapadniętych skroniach nadawało głowie jego

wygląd czaszki nieobrosłej skórą; szeroko rozwarte nozdrza zdala czerniały na twarzy, usta bez warg, nieco osłonięte chudą, do szponów podobną dłonią, na wpół się otwierały w ohydnym uśmiechu — a oczy, raczej jamy oczne, niewątpliwie skierowane i utkwione były w Joannę; — ani na chwilę nie zwrócił ich w inną stronę...

Pochyliłam się nieznacznie ku p. Henrykowi:

— Niech się pan nie rusza — poczęłam z za wachlarza mówić — niech pan doczeka końca tego kawałka, a potem, podczas pauzy, niech pan spokojnie wstanie i powoli do drzwi się zbliży... Za nami, w drugim rzędzie, piątem krześle, siedzi ten potwór... człowiek-trup... Proszę go z oka nie spuścić... gdy wyjdzie, krok w krok iść za nim i koniecznie — słyszy pan — koniecznie wyśledzić kim jest i gdzie mieszka. O nas niech się pan nie troszczy, damy sobie same radę — znajdzie nas pan w willi Diana...

P. Henryk skinął głową na znak, że zlecenie moje zrozumiał.

Orkiestra dalej grała — publiczność dalej się muzyką rozkoszowała, ale z nas trojga już nikt jej nie słuchał — nie słyszał nawet...

Joanna napróżno usiłowała nieco zimnej krwi odzyskać; jej przyspieszony oddech i pierś falująca aż nadto zdradzały bezładne, dzikie tętna jej biednego serca... Patrzałam na nią z współczuciem, ściskając dłoń jej w mojej...

Nareszcie długi kawałek, który zdawał się nigy nie mieć skończyć — jednak się skończył — przeciągłe oklaski się odezwały, poczem zapanował ruch i szmer w sali; poczęto się nawzajem rozglądać; wiele osób wyszło na świeże powietrze; p. Henryk idąc za memi wskazówkami, podniósł się także leniwie i rzucił okiem wkoło siebie.

— Pani! — rzekł niemal głośno — za nami nie siedzi nikt!...

Jak na komendę obróciłyśmy głowy: piąte krzesło w trzecim rzędzie było puste!...

— Ależ on tu był! był przed chwilą! — zawołałam cała wzburzona — na własne

oczy go widziałam! Nie podlegam przecie halucynacyom!

— O był! był!... — powtórzyła blada, jak widmo Joanna — ja go wprawdzie nie widziałam, ale wiem dobrze że był — i patrzał na mnie — i... i... wołał mnie... — dodała ciszej.

— Udałam, że jej nie słyszę.

P. Henryk wzruszył ramionami.

— Niema rady, moje panie! — rzekł — a raczej jest tylko jedna rozsądna... Był — wyszedł — nie dogonimy go na ten raz... A więc nie troszczmy się nim więcej i zostańmy do końca koncertu.

Tej rady usłuchałyśmy; — reszta wieczoru minęła w niczem nie zamąconym spokoju.

. . . .

Nazajutrz już o szóstej byłam na nogach; przysięgłam sobie nie wytchnąć, nie spocząć, dopóki nie odszukam naszego nieznajomego. Wszystkich moich znajomych poruszyłam: urządziliśmy formalną na niego obławę; od rana do nocy przebiegaliśmy promenadę,

ulice, spacery. Zwiedzaliśmy sklepy, restauracye, kąpiele miejscowe; rezultat pozostał negatywny. Nikt z nas nie ujrzał nawet z daleka nikogo — choćby przypominającego człowieka-trupa... „Musiał z Kissingen wyjechać,“ powtarzano chórem, i z każdym dniem przebytym kamień z serca zdawał się mi spadać... Minął tydzień...

Joanna, widocznie pod wpływem naszych zapewnień, przychodziła znów do siebie; przerwaną kuracyę rozpoczęła na nowo; lekkie rumieńce pojawiły się na jej przezroczystej twarzy; dawny gość — uśmiech — zawitał na jej słodkie usta, — czarujące oczy straciły dawny wyraz trwogi i po dawnemu czarowały...

Równocześnie kółko nasze uległo zmianie; kilka nowo przybyłych osób przyłączyło się do niego — z dawnych znajomych, wielu wyjechało — reszta do wyjazdu się gotowała; jednej tylko Joannie zalecił doktór znacznie pobyt swój przedłużyć dla odzyskania straconych sił.

Pewnego dnia — był to ostatni pobytu p. Henryka — postanowiliśmy wszyscy razem pójść do teatru a potem na wspólną pożegnalną kolacyę do Kurhauzu.

Dawano operetkę »Die Fledermaus«.

Siedziałam z Joanną w przednich krzesłach loży — panowie, za nami; nastrój wśród nas był nadzwyczaj wesoły i ożywiony — żarty, dowcipy, śmiechy krzyżowały się w powietrzu.

Kurtyna była codopiero podniosła się na drugi akt — w teatrze zapanował mrok; wtem — Joanna, zapatrzona na scenę — nagłym ruchem przechyliła się w tył i oczy szeroko rozwarła.

— Janko! co tobie? — spytałam, otaczając jej kibić ramieniem.

— Tam... tam... naprzeciwko... — wymówiła z trudnością a przerażenie jej było tak wielkie, że zęby jej jak w febrze zadzwoniły a zimny pot na skronie wystąpił.

Spojrzałam.

W głębi ciemnej loży, wprost naprzeciw naszej położonej, zarysowała się niewyraźnie

głowa człowieka-trupa. Poznałam dobrze jego postać pochyloną, niezmiernie wysokie, żółte, gładkie czoło, jak czaszka skórą nieobrośnięta, połyskujące — chude palce, do szponów podobne, któremi według zwyczaju brodę podpierał — jamy oczne ku Joannie skierowane...

— Zapanuj nad sobą, droga — odrzekłam cicho — nie patrz w jego stronę... po tym akcie wyjdziemy.

— Czy ty myślisz, że ja go spostrzegłam?... — spytała z dziwieniem, szybko oddychając -- przecie go tylko... poczułam...

Tu p. Henryk, któremu jej pomieszanie nie było uszło, zagadał do niej, usiłując skierować jej uwagę na duet na scenie śpiewany — Joanna, zasłoniwszy zupełnie wachlarzem twarz od widzów, z umysłu oparła się o brzeg loży, całą postacią do p. Henryka zwrócona.

Co do mnie, nie spuszałam z oka nieznajomego; przez binokle utkwiłam przenikliwy wzrok w niego, chcąc mu się tym razem dobrze przyjrzyć oraz przekonać czy rzeczy-

wiście Janka była przedmiotem jego zajęcia, czy też przypuszczenie to polegało tylko na wybryku jej i mojej wyobraźni.

Nie! Wyobraźnia nasza nas w błąd nie wprowadzała... Człowiek-trup siedział tak nieruchomo, że mógłby był na prawdę za widmo uchodzić a swe straszne jamy oczne zatapiał w Jankę, swem strasznem, martwem wejrzeniem Jankę przeszywał...

A wtem — nie przyśniło mi się!... ujrzałam najwyraźniej — najdokładniej — jak swą chudą do szponów podobną dłoń wyciągnął wolno w jej stronę i raz — drugi — trzeci na nią kiwnął...

Krzyk przeraźliwy rozległ się w tej samej chwili w naszej loży — Joanna wypuściła z ręki wachlarz i zemdlała.

Rzuciliśmy się tłumnie ku niej — wokoło nas powstał tłok, zamęt nie do opisania; — p. Henryk porwał ją na ręce i jak dziecko uśpione wyniósł z teatru — jeden z panów pobiegł co tchu po doktora — drugi po doróżkę.

. . . .

Dopiero po długim — nieskończenie długim przeciągu czasu, powiodło się połączonym naszym wysiłkom przywrócić ją do życia!...

Nie zapomnę nigdy bezdennie zrozpaczonego wejrzenia, z jakiem pierwsze słowa podobne do skargi — wymówiła.

— „Tak mi było dobrze na świecie!... Tak mi żal... tak mi żal życia!...

— „Dziecko! co mówisz? przerwałam spiesznie. — Wszak żyjesz i żyć będziesz!... Żadne ci nie grozi niebezpieczeństwo, nieprawda, doktorze?“

Doktór, nie przestając liczyć uderzeń jej pulsu, odrzekł stanowczo:

— „Żadne — ani cienia niebezpieczeństwa niema...“ — ale twarz jego mówiła co innego. Ona, biedactwo, przez chwilę milczała, jak gdyby pragnąc dać wiarę naszym zapewnieniom, — potem znów dreszcz nią wstrząsnął, — a zakrywając swe oblicze, szepnęła:

— Ja wiem lepiej!... On mnie zawołał!...

. . . . I cóż więcej powiedzieć?... Nie zdołałam nigdy tej tajemniczej, zagadkowej historyi rozwiązać... Nigdy więcej nie ujrzałam, ani też nikt z nas nie ujrzał człowieka-trupa... Faktem zaś pozostaje, że od owego wieczora stan chorej tak się pogorszył, że musiano jej męża czemprędzej zawezwać; przybył niebawem — wywiózł żonę do domu, do rodzinnego Podola: — tam, o ile słyszałam, na krótki czas zdrowie jej się polepszyło — potem znów nagle serce osłabło, siły niknąć poczęły, a zaledwie wiatr jesienny pierwsze liście z drzew postrącał, — wesoła, śliczna nasza Joanna, wciąż powtarzając: „Tak mi żal życia!“ — z życiem się rozstała...